Nr. 18 (1632) Warszawa, 4 maja 1912 r. Rok XXXII

# PRAWDA

Tygodnik polityczny społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Zdrowy sąd.

> Oj! zasługuje na wielką naganę,
> Kto kala gniazdo własne — ale taki
> Co widzi, ile gniazdo jest skalane,
> To mi dopiero łotr, to ladajaki.
> — Taki jest cynik, lub niezrozumiały.
> Porządek nawet może popsuć wieczny.
> Takiego wartoby z Tarpejskiej skały
> Potrącić... człek to bardzo niebezpieczny.
>
> *NORWID.*

Takim człekiem niebezpiecznym, wedle „zdrowego sądu" Narodowej Demokracji, człekiem zbiorowym, zasługującym na strącenie z Tarpejskiej skały, jest obóz postępowy. To, co Norwidowi zdało się być godnym włożenia między fraszki, to *Głos Warszawski* najpoważniej w świecie podaje nam dziś, jako przykazanie kultury i etyki. [1])

„Organy prasy postępowej, czytamy w *Głosie,* mogą sobie przypisać lwią część zasługi w tym, że dziś stan duchowieństwa jest gorszy, niż dawniej".

Prasa bowiem narodowa i zachowawcza nie tai tego, że w czasach obecnych stan kleru jest bardzo zły; że poziom jego etyki, zarówno jak umysłowości jest haniebnie nizki. „Nie myślimy, powiada *Głos Warszawski,* zamykaniem oczu na ten fakt usypiać czujności tych, do których należy kontrola nad postępowaniem ogółu duchowieństwa"... [2])

Myśmy to samo twierdzili już dawno. My oczu na zwyrodnienie duchowieństwa nie zamykaliśmy nigdy, jak nie zamykamy ich na żadne niebezpieczeństwa, na żadną stronę rzeczywistości.

Zdawałoby się, że konserwatyści, którym dopiero zbrodnia częstochowska przedarła bielmo na oczach, powinniby krytycznej czujności postępowców wyrazić uznanie, i stanąwszy obok nich na gruncie smutnej rzeczywistości, jąć się pracy wspólnej, celem zaradzenia złu.

Tak rozumować nakazywałaby logika.

Konserwatyści rozumują odwrotnie.

*Prawda, Zaranie, Myśl Niepodległa, Kultura Polska, Kurjer Poranny, Ster, Goniec, Nowe Tory, Gazeta Kujawska, Kurjer Lubelski, Iskra* — nie osłaniają zdrożności kleru kłamstwem i obłudą, e r g o: one są sprawcami tych zdrożności.

Aleksander Świętochowski demaskował cynizm duchowieństwa, e r g o: rzeczony cynizm jest dziełem Świętochowskiego.

Andrzej Niemojewski, na półtora roku przed katastrofą, ostrzegał społeczeństwo przed rabunkową gospodarką na Jasnej Górze i żądał kontroli publicznej nad skarbcem klasztoru, e r g o: Niemojewski jest winny popełnionej zbrodni świętokradztwa.

Doskonale!

Lecz idźmy o krok dalej tą samą drogą.

Porucznik Philipps, płynący na „Titanicu", uderzony niezwykłością chłodu, wiejącego z morza, alarmował kapitana o nadciąganiu gór lodowych, groźnych dla okrętu. Nie usłuchano go. Nastąpiło starcie śmiertelne. I któż temu winien? Czy kapitan, który nie posłuchał ostrzeżenia? — Ale gdzież tam, oponuje logika *Głosu Warszawskiego,* winien jest porucznik, który ostrzegał...

— Duchowieństwo, chcąc aby je szanowano, musi być światłe i uczciwe: — oto nasze zdanie.

Zdanie *Głosu Warszawskiego* brzmi inaczej:

---

[1]) Patrz niżej: „Z prasy polskiej".
[2]) Tamże.

— Naród, który chce mieć dobre duchowieństwo, przedewszystkim musi je szanować.

Czyli, my powiadamy: Naprzód zasługa, potym hołdy! Zaś narodowi demokraci mówią: Naprzód hołdy, potym zasługa!

Jest to rozumowanie znamienne dla żywiołów, opartych na przywileju, na wyzysku innych, na pasorzytnictwie: chciałyby one, aby wiecznie trwał dla nich okres żniwa, nigdy natomiast okres nie przypadał — orki.

„Gdybyśmy — czytamy w *Głosie* — zawsze traktowali duchowieństwo z tą powagą, która mówi, czego od niego za okazywany mu szacunek wymagamy, niewątpliwie mniejbyśmy mieli powodów do uskarżania się na jego postępowanie".

Zali trzeba dowodzić, jak liche świadectwo wystawiają słowa powyższe zarówno autorom swym, jak duchowieństwu, które rahabilitować [illegible]?

Na chwilę jeno zajrzyjmy słowom tym w oczy: zobaczymy w nich wizerunek Człowieka.

Tak! lecz na czym polega wartość owego Człowieka? — z kolei zapytamy. Na czynach? Nie. Na jego treści wewnętrznej, na zasobach ducha? Także nie. A więc — — ?

— Na dymie kadzidlanym, który łykać musi, aby nie zwątpić o sobie!.. — odrzecze bez wahania *Głos Warszawski*. Człowiek, tłómaczą nam narodowi demokraci, wart jest tyle, co opinja o nim. Wolnomyśliciele i postępowcy psują księżom opinję: czyż wobec tego księża mogą być coś warci? Wolnomyśliciele i postępowcy nigdy nie mieli należnego szacunku dla klasztorów: czy wobec tego o. o. paulini mogą nie być rzezimieszkami? Wolnomyśliciele i postępowcy nie całują biskupów po rękach: czyż tedy biskupi mogą nie być denuncjantami?

Tak wygląda etyka narodowej demokracji, skodyfikowana z niesłychaną w dziejach myśli ludzkiej szczerością cynizmu, na łamach *Głosu Warszawskiego*.

Przepada wobec etyki tej wszelkie pojęcie o godności indywidualnej człowieka, o jego prawdzie wewnętrznej, o głosie sumienia, zdolnym przeciwstawiać się całej potędze opinji: znika wobec niej miejsce dla heroizmu Sokratesa, znika Kalwarja Jezusa, znika szczytność Giordana Bruna.

Wszak żaden z trójcy tej nie wspierał się na szacunku opinji, ale łamał się z nią w śmiertelnym krwawym boju... aż do śmierci.

A Kartezjusz, Kopernik, Newton, Galileusz, Byron, Mickiewicz lub Norwid, ci wszyscy których imiona świecą jak gwiazdy nad nami, wszyscy wielcy i najwięksi, byliż sobą dzięki uznaniu opinji, czyli też, przeciwnie, naprzekór niej doszli do wielkości?

Od genjuszów zstąpmy ku maluczkim i zapytajmy się Pawła lub Gawła, na czym swą wartość zasadza: na przeświadczeniu własnym, czy na tym, co o nim trzyma sąsiad? Usłyszymy odpowiedź na sobie samym! Tak tylko bowiem odpowiedzieć może istota żywa, tak zawsze odpowiada życie, będące siłą ciążącą ku samej sobie, odpowiada jednako przez usta Kartezjusza jak Pawła i Gawła.

Nieszczęsny narodzie polski! Nie umiałeś czcić swych kapłanów, — powiadają ci twoi mistrzowie — przeto dźwigasz pęto niewolnicze u szyi, a najpiękniejsze gościńce świata stały się dla ciebie drogami krzyżowymi tułactwa. Nie padłeś na kolana przed Possewinem—jezuitą, nie chciałeś kanonizować Karnkowskiego-prymasa, nie otoczyłeś chwałą świętości—Puzyny, nie stawisz pomnika Rejmanowi...

Biedny narodzie polski! Czymże swoje winy odkupisz? Czy nową wyprawą pod Wiedeń — — ? Aliści w prochu, pod kurhanami, legła twa szabla złamana i ramię twe zwisło

---

Kazimierz Wroczyński.

# Niema lauru bez kolców.

Konstanty Gwizdawa-Chróbski właśnie najsmaczniej spał. Konstantemu Gwizdawie-Chróbskiemu słynnemu pisarzowi, essay'iście, poecie, uczonemu, „mistrzowi", publicyście, wielokrotnemu laureatowi, członkowi Akademji „sławie narodowej", śniło się właśnie, iż jest na odsłonięciu własnego pomnika i że on sam już nie jako Konstanty Gwizdawa-Chróbski, lecz jako swój konterfekt ze śpiżu ma wielką mowę do narodu, że podczas tej mowy przyjeżdża storting norweski in corpore i przywozi mu w brzęczącej monecie nagrodę Nobla, — gdy bardziej donośny niźli miły głos żony wyrwał Konstantego Gwizdawę-Chróbskiego z rozkosznych morfeuszowych fantazmów.

— Kociu, kochanie moje, już siódma, czas wstać.

— Na litość boską, — próbował oponować „Kocio", — jeszcze niema siódmej, za pięć minut dopiero; spać mi się chce...

— Kociu, kochanie moje, wiesz o tem, że obowiązkiem twoim jest wstawać nawet wcześniej: Franciszek Józef wstaje o piątej, Lew Tołstoj wstaje o piątej, Leon XIII wstawał o szóstej, a ty i tak śpisz do siódmej. Wstydź się Kociu.

Konstanty Gwizdawa-Chróbski westchnął tylko, wstał i faktem tym rozpoczął nowy dzień dla społeczeństwa, dla historji literatury i dla swej biografji.

Po umyciu się w lodowato-zimnej wodzie, czego Konstanty Gwizdawa-Chróbski nienawidził serdecznie, lecz co czynić musiał ze względu na to, iż (jak zapewniała żona) 75% wielkich ludzi myje się rano tylko w bardzo zimnej wodzie, znakomity essayista począł się ubierać.

Kociu, kochanie moje, ubieraj się prędzej, — naglila pani Konstantowa Amelja née Szternberk Nessalska Gwizdawa-Chróbska; Kociu, już dochodzi wpół do ósmej, pora przechadzki porannej.

— Ależ Melly, ja dziś nie wyjdę chyba, nie-

w bezwładzie. A w dłoń, która niegdyś hetmańską buławę nad całym wschodem Europy dzierżyła, wkładają ci dzisiaj brewjarz i różaniec Skargi i z kosturem pielgrzymim wyprawiają cię w drogę do Rzymu. Każą ci bić się w piersi i pokutować za zbrodnie cudze. Atoli każdy, kto się wybiera do Rzymu, powinien dobrze w pamięci swej rozważyć przestrogę Wawrzyńca Medyceusza, który wysyłając na dwór apostolski 17-letniego syna swego **Jana**, kardynała a późniejszego papieża Leona X, rzekł doń na rozstaniu: „Udajesz się do ostępu wszelkich łotrostw; z niezmierną trudnością przyjdzie ci tam wytrwać na drodze godziwości".

Czyliż naród polski dzisiaj, z owego „ostępu" ma czerpać światło i otuchę moralną do życia?

## Wątpliwe zwycięztwo.

Na wyborach do zarządu gminy żydowskiej odnieśli zwycięstwo elekci listy postępowej, stojący na gruncie asymilacji.

A więc: „niech żyje asymilacja!" — wołają jej organy, ciesząc się wynikiem wyborów, jako objawem społecznym bardzo pomyślnym: „Naczelny ster nad gminą warszawską — czytamy w jednym z tych organów — pozostanie w dłoniach obywateli, którym przyświecają ideały kultury i hasła asymilacji w najlepszym tego słowa znaczeniu".

Łatwo jest pojąć radość, brzmiącą w powyższych wyrazach, niestety, trudniej jest ją podzielić.

Ster nad gminą żydowską pozostanie w dłoniach, wiernych kulturze polskiej, — ale czy na długo?

Zwyciężyło stronnictwo asymilatorskie, ale — czy ostatecznie?

Sięgnijmy do liczb. Z ogólnej sumy 2,700 oddanych głosów padło na listę postępowców 1,600, resztę zaś uzyskali nacjonaliści. Ci ostatni tedy przedstawiają w prawdzie mniejszość, ale mniejszość bardzo pokaźną: 44% wobec 56%. Wystarczałoby im zdobyć jeszcze 200 głosów, i już szala zwycięstwa przechyliła się inaczej, oddając ster rządów nad gminą nieprzyjaciołom polskości. Do zarządu obecnego gminy nie wszedł ani jeden nacjonalista. Ale czyż, po za zarządem, w łonie samej gminy, przez fakt poniesionej porażki nacjonaliści przestali istnieć? Czyż porażka ta wytrąciła im broń z ręki? Czyż sami, zniechęceni, składają broń w ręce zwycięzców?

Rzeczywistość daje odpowiedź, niestety, wręcz przeciwną.

Nacjonaliści czują się podniecenі do walki jeszcze bardziej wskutek upadku swego przy wyborach, występując tym energiczniej i zapamiętalej. O abdykacji bynajmniej nie myślą. W tym samym dniu, w którym rozegrały się wybory, rozanmiętniona młodzież nacjonalistyczna „usiłowała wyrządzić obelgi czynne starcom, należącym do komitetu konserwatywnego, mszcząc się za to, że komitet ten zerwał z nacjonalistami".

Bo i to dodać trzeba, że asymilatorzy część zwycięstwa swego zawdzięczają poparciu konserwatystów, czyli ortodoksów, będących najfanatyczniejszym w gminie żydowskiej żywiołem.

Niepodobna dziś stawić jakichkolwiek horoskopów co do przyszłego rozwoju nacjonalizmu żydowskiego. Czyli chwila obecna jest dlań punktem szczytowym, punktem przesilenia, po którym nastąpi upadek, czy też, przeciwnie, leży na linji łuku, idącego wwyż coraz dalej, wyrokować nie możemy. Jedynie przyszłość władna jest zagadnienie to rozwiązać.

Tymczasem wszakże, nie ulega wątpliwości fakt jeden: nacjonalizm stał się siłą, i z siłą tą liczyć się należy już dziś, bez względu na dalsze jej koleje. Już dziś, wobec siły tej, poważnie zachwiana została tradycyjna, po Wielopolskim odziedziczona, teza o istnieniu żydów, jako odłamu polaków mojżeszowego wyznania. Nacjonaliści biją potężnym taranem, aby tezę ową rozkruszyć. Ich wystąpienia, pełne napastliwej wybuchowości, mają wszelkie znamiona rodzącego się parcia idei narodowej. Nie inaczej, niż dzisiejszy ruch narodowy żydowski, budził się przed laty nacjonalizm litewski, białoruski, ukraiński. Każdy rodził się z iskry, aby niebawem rozlać się w ognisko, którego niczyja potęga nie stłumi. Nacjonalizm żydowski jawi się na świat w warunkach nierównie uciążliwszych,

---

pogoda, deszcz mży, zresztą czuje się niezbyt dobrze.

— Kociu, kochanie moje, wiesz dobrze, że o wpół do ósmej codziennie musisz wyjść na godzinny spacer, nie możesz więc dziś bez powodu robić zawodu społeczeństwu; jeśli się zaś źle czujesz, włóż flanelową koszulkę, po powrocie zatelefonuje się po lekarza. Idź już kochanie, idź, weź parasol, tylko trzymaj go pochylony do tyłu o ileby cię fotografowano gdzie po drodze i nie podnoś kołnierza od palta, bo potem na reprodukcjach rysy twarzy są niewyraźne...

Z pod ciepłego deszczu żonnych rad i przestróg Konstanty Gwizdawa-Chróbski wydostał się na chłodny deszcz pochmurnego kwietniowego poranku. Szedł powoli z podniesionym kołnierzem od palta (na szczęście nie było żadnego fotografa) i pomrukiwał niezadowolony: ciekawym co komu dziś z tego przyjdzie, że szwędam się znów od rana po ulicach, ha — może tym dzieciakom, co wyrwane z ciepłych łóżeczek drepcą teraz do szkół przypominając sobie bezużyteczne daty, nazwy i teksty, może te ziębnięte pączki ludzi pocieszałaby myśl, gdyby wiedziały, że i ja „kwiat narodu jego sława" też wbrew chęciom moim moknę od rana na deszczu. Ale cóż, one tego nie wiedzą i poświęcenie moje idzie dzis na marne. Przerżnąwszy miasto w kilku kierunkach, już wielki poeta wracał do domu gdy spotkał znajomą żony idącą z kucharką na targ, skłonił się uprzejmie i to spotkanie wieńczące żmudny obowiązek spaceru, cokolwiek poprawiło humor „mistrzowi".

W domu żona czekała już ze śniadaniem, poranną pocztą i sekretarzem.

— Czy nie mógłbym, choć dziś tylko, dostać na śniadanie nie jajka i nie kakao?

— Kociu, kochanie moje, nie kapryś; wiesz dobrze iż poranne twoje menu zostało ogłoszone we wszystkich gazetach swojskich i zagranicznych, nie możesz więc wprowadzać w błąd ludzkości.

— Dajcież mi chociaż raz herbaty!

— Kociu, kochanie moje, nie denerwuj się od rana. Zresztą przy najbliższym wywiadzie powiem dziennikarzom, że doktór radził ci pić miast kakao herbatę i odtąd na śniadanie będzie herbata.

Przy śniadaniu wielki publicysta przerzucał poranne pisma, czytając artykuły zakreślone czerwonym ołówkiem przez sekretarza.

nie posiada bowiem tej przyrodzonej kolebki, którą dla narodu jest ziemia własna, i tego narządu spójni organicznej, którym jest własny język. Czyli nacjonaliści obu trudnościom tym podołają, czy potrafią dwa te zasadnicze braki uzupełnić nadmiarem energi i pełnią rozpędu żywotnego, jest rzeczą wątpliwą, niemniej jednak nie jest, powtarzamy, niemożliwą. Przezorność nakazuje nam przewidywać możliwość powstania narodowości żydowskiej w granicach polskiej ziemi.

Przyznając każdemu zasadnicze prawo samookreślenia własnej narodowości, nie możemy prawa tego cofać żydom, gdy stanowczo, jako narodowość odrębna zaczną występować.

Ale, oczywiście, wówczas z faktu tego właściwych nie omieszkamy dla siebie wysnuć konsekwencji. Żyd w obliczu interesu narodowego polskiego zrówna się z Niemcem, lub Rusinem. Nie będzie to już Polak mojżeszowego wyznania, ale ktoś obcy, z którym wypadnie może toczyć walkę tak, jak Czesi walczą na ziemi swej z Niemcami, którego wypierać może będziemy zmuszeni tak, jak Niemców wypierają — Czesi.

Oczywiście wówczas tym silniej zadzierzgną się węzły spójni i wzajemności z tą częścią żydów, która opowie się przy kulturze polskiej.

*R.*

## Klątwy kościelne w dziejach Polski.

### I.

Od czasu manifestu tolerancyjnego duchowieństwo nasze wznawia epokę walk religijnych, wprowadzając w życie naszego ludu nieznany dawniej zamęt i ferment.

Zaczęło się to od krucjaty przeciw Marjawitom. Dziś stoi na placu boju nowy wróg wiary i Kościoła: *Zaraniarze*. Na czym ta nowa herezja polega, nie docieknie nigdy normalny umysł ludzki. Najuważniejszy czytelnik *Zarania* nie dojrzy w nim nawet przez szkło powiększające ani śladu teologicznych dociekań, krytyki czy to dogmatów, czy obrzędów katolickich, boć chyba nie należy do obrzędów targ, dokonywający się na plebanji o cenę posług religijnych, albo też rachunek z gospodarki kościelnej.

Niemniej zwierzchność duchowna w ruchu zaraniarskim upatruje jakieś cechy kacerstwa i uważa za słuszne ciskać na niego z ambon gromami klątw kościelnych.

Zdumieni tym nowym widowiskiem inteligenci wszelkich sfer, nie wyłączając inteligentów w bluzach i sukmanach, protestują imieniem ducha czasu. „Minęło średniowiecze", mówią; „nie powrócą czasy świętej inkwizycji i druzgocącej mocy klątw kościelnych. Łudzą się wielebni proboszczowie i biskupi, że ich dawna potęga trwa jeszcze".

Głosy te u nas są dowodem, jak dalece w ciągu długich lat naszej zależności w dziedzinie wychowania i oświaty zatraciła się znajomość przeszłości własnego kraju, jak zupełnie zerwana została nić tradycji w świadomości narodu. Nieświadomie, w instynktach jego, w tym co z krwią odziedziczone, ta tradycja wciąż trwa, lecz ile razy na powierzchnię wypływa, wydaje się czymś zgoła nowym, nigdy nie bywałym.

Tak jest i w tym wypadku. Ambony grzmiały przeciw szkole w Kruszynku; — szkoła rozwinęła się tym pomyślniej. Z ambon padają klątwy na czytelników i zwolenników *Zarania*; chłop nie lęka się gromów kościelnych i tym skwapliwiej, z tym większym zaciekawieniem bierze do ręki potępione pismo. Duchowieństwo wytyka imiennie wybitniejszych „Zaraniarzy", jak Manterysa np., — Zjazd delegatów Kółek Staszycowskich wyraża zbiorowe uznanie i współczucie prześladowanemu koledze.

Patrząc na to nikt u nas nie domyśla się nawet, że w tych momentach uobywatelony lud nasz, jako prawy spadkobierca narodowych tradycji, wskrzesza odwieczny obyczaj, wzory Piastów, Jagiellonów, polskiej szlachty i polskiego możnowładztwa.

Nietylko nie są to fakty nowe i niesłychane, lecz stanowią jedynie ciąg dalszy tego, co w analogicznych warunkach u nas powtarzało się zawsze — tak dalece, że nawet okres reakcji jezuickiej zdołał tylko w bardzo skromnej mierze prze-

---

— Kociu, kończ prędzej, już dziesiąta, pora zacząć korespondencję; sekretarz czeka.

Punkt dziesiąta laureat zaczął dzień roboczy: przeglądanie korespondencji i dyktowanie sekretarzowi odpowiedzi na listy mniejszej wagi. O jedenastej nadszedł czas korespondencji własnych i trwał do pierwszej. Konstanty Gwizdawa-Chróbski korespondował z całym cywilizowanym światem.

Dziś z kolei rzeczy wypadło odpowiedzieć na listy „Towarzystwu decydowania dat spornych w biografjach wielkich ludzi", tybetańskiemu Dalaj lamie, jednemu z amerykańskich miljarderów-filantropów i pewnej damie z wielkiego świata, której „mistrz" nie znał osobiście, ale z którą na tle amitié amoureuse korespondował od szeregu lat. Najwięcej też czasu znakomitemu poecie zajął list ostatni: trzeba było wyszukiwać zupełnie nieznane cytaty z wielkich a mało znanych autorów, przepisywać je w oryginalnych tekstach bezbłędnie, pisać przytem czytelnie (ze względu na ewentualne pośmiertne wydanie) polotnym, dostojnym stylem.

Konstanty Gwizdawa-Chróbski pracował dla późniejszych Hoesicków z samozaparciem, gdzie mógł tam napomykał o najmniej znanych faktach swego żywota i działalności, od czasu do czasu tylko, gdy utknął w pracy monologował półgłosem: ...tak więc twierdzi Bertrand de Bozne, o piękna pani... (djabli każą babie pisać co tydzień!), ja zaś ze swej strony dodam... (co ja jej dodam?! — o Boże!)... i t. d. i t. d.

Potem w odzielnym zeszycie odpowiednio porubrykowanym, pod datą dzisiejszą „mistrz" wpisał listy i adresy; podczas tego zaś sekretarz wklejał w sąsiednim pokoju w albumy artykuły z ostatniej doby o „sławie narodowej" wzmianki notatki bibliograficzne o dziełach znakomitego pisarza i fotografje wycięte z pism.

Nadchodziła godzina obiadu.

— Kociu, kochanie moje, zadźwięczał głos pani Konstantowej, za pół godziny obiad, skończ prędzej z korespondencją i przejrzyj twój list otwarty do Alfonsa XIII ego, w przyszłym tygodniu trzeba będzie dać go do pism.

— Dobrze duszko, właśnie o tem myślałem.

(D. N).

szczepić na nasz grunt chwast zachodnio-europejskiego fanatyzmu.

Polska tolerancja tkwiła w krwi i nerwach narodu. W rzeczach doczesnych niezależność od Kościoła łączyła się u nas nawet z zupełną prawowiernością religijną. Ile razy malujemy okrucieństwa inkwizycji, musimy barwy do obrazu brać z obcych stosunków. W Polsce inkwizycja istniała niespełna 2 wieki (od czternastego, w piętnastym, część szesnastego) wiodła żywot sucholniczy, a ofiary jej na palcach policzyć można.

Znamy daty, znamy nazwiska nielicznych ofiar sądów duchownych, a płonący stos nigdy wśród widzów polskich nie budził zachwytu. Stanowiska inkwizytorów były prawie synekurami. Niema też ani jednego znanego i pamiętnego wypadku w dziejach Polski, aby klątwa kościelna stała się jakimś druzgocącym ciosem, istotną klęską dla dotkniętej nią jednostki, a klątwy były niegdyś i u nas, jak wszędzie, dość pospolicie używaną bronią Kościoła w jego zatargach ze świeckim społeczeństwem. Na zachodzie pod piorunami kościelnymi waliły się trony; — u nas nietylko król, książę, magnat lecz i prosty szlachcic nie schylał pod nimi karku.

Podanie zbogaciło wprawdzie dzieje Piastów jedną tragiczną legendą o dumnym władcy, skruszonym potęgą wyklinającego biskupa, o męczeństwie tegoż biskupa, o wygnaniu i pustelniczej pokucie króla—zbrodniarza, ale dokładniejsze badania historyczne doszczętnie tę legendę obaliły. Nie był wyklętym Bolesław Śmiały, nie był ofiarą mordu biskup Stanisław, nie był to nawet zatarg władzy duchownej z świecką, jak mniemali niektórzy chcąc na gruncie polskim szukać odbicia współczesnych walk między władcą Niemiec a twórcą papieskiej potęgi, Grzegorzem VII-ym. W zatargu, który wstrząsał ówczesną Europą, Polska i jej król brali czynny udział lecz w odwrotnym do powyższej hypotezy znaczeniu. Bolesław Śmiały stanął po stronie prawowitego papieża, wyzyskując położenie cesarza, by siebie i swój kraj z zależności od Niemiec wyzwolić i zdobyć koronę samodzielnie, w Rzymie, bez oglądania się na władzę zwierzchniczą. To zwycięztwo było zapewne przyczyną jego późniejszego upadku. Cesarz i jego sprzymierzeniec, król czeski, obalili „Śmiałego" polskiego króla, podburzywszy przeciw niemu zdrajców w jego własnym kraju w osobach biskupa krakowskiego i młodszego Piasta, królewicza Władysława Hermana. Jako sprzymierzeńcy wyklętego cesarza i mianowanego przezeń antypapieża Klemensa, raczej Władysław i biskup mogliby klątwie kościelnej podlegać. Zdradę biskupa odkryto zawczasu, zginął on nie jako męczennik, lecz jako przestępca polityczny na mocy zbyt surowego i okrutnego wyroku. Egzekucja wywołała rezultat przeciwny celowi; zwiększyła stronnictwo młodszego Piasta i przyspieszyła klęskę Bolesława. Zwycięski król czeski zajął Kraków, Władysławowi pozostawiając władzę książęcą tylko nad częścią Polski.

Wraz z panowaniem Bolesława upadła i godność króla polskiego, wskrzeszona dopiero w dwa wieki później. Młodsza linja Piastów przechowała we wdzięcznej pamięci imię biskupa, który jej swą śmiercią drogę do władzy utorował; że zaś ona to właśnie utrzymała rządy w swoich ręku, gdy syn Bolesława, z rozkazu stryja otruty, bezpotomnie zeszedł ze świata, imię to naprzód rehabilitowane, później aureolą świętości otoczone, splotło się nierozerwalnie w tradycji z imionami monarchów królujących na Wawelu.

Tak wygląda owa wstrząsająca historja wyklętego władcy w oświetleniu nauki współczesnej.[1])

Znacznie pewniejsze i dokładniej stwierdzone opowieści doszły nas o późniejszych książętach i królach polskich, wyklinanych przez Kościół; żadna z nich jednak dla obciążonego klątwą nie kończyła się tragicznie.

Powodem klątwy był zwykle jakiś zatarg pieniężny lub walka o granice władzy świeckiej i duchownej w rzeczach ściśle doczesnych.

Władysław Laskonogi został wyklęty za zagarnięcie majątków po biskupach wrocławskim i krakowskim zmarłych bez testamentu. W odpowiedzi na klątwę odwołał przywileje duchowieństwa, zniósł sądy duchowne i poddał kler sądom świeckim. Papież Innocenty III-ci ogłosił ogólny interdykt. Filip, biskup poznański, odmówił ogłoszenia interdyktu a biskupa naznaczonego przez papieża złożył z urzędu Władysław. Nie poszedł do Kanossy, duchowieństwo nie zdołało złamać jego woli, a po wyczerpaniu wszystkich środków, wdało się w układy i zgodziło się przyznać księciu prawo dziedziczenia po zmarłych bez testamentu biskupach złota, srebra i kosztownych ruchomości. Jak widzimy o utracie władzy skutkiem klątwy nawet mowy nie było, choć Laskonogi nie był koronowanym władcą potężnego państwa, lecz tylko księciem udzielnym.

Bolesław Łysy, książę szląski postanowił zamienić dziesięciny kościelne w naturze składane na pieniężne opłaty. Duchowieństwo rzuciło na niego klątwę, a papież ogłosił krucjatę przeciw Bolesławowi, ta jednak nie doszła do skutku, skończyło się na publicznem śpiewaniu hymnów przeciw księciu. Biskup kapitulował.

Syn Bolesława, Henryk II-gi szląski, odziedziczył po ojcu niechęć do duchowieństwa. Na wezwanie biskupa wrocławskiego wyklął go arcybiskup gnieźnieński, ale nie wszyscy księża uznali ważność klątwy; Franciszkanie wrocławscy pozostali wierni Henrykowi. Zachęcony tem wygnał z miasta opornych duchownych wraz z biskupem. Nie uląkł się groźb papieża samego; odwołał się do koncyljum w Lugdunie i został uniewinniony nieuczyniwszy ze swej strony żadnego ustępstwa. Biskup powróciwszy z wygnania pogodził się z Henrykiem.

Jeżeli drobni książęta umieli tak hardo stawiać czoło władzy papieskiej i biskupiej, to już rzeczą prostą się wyda, że nie uląkł się jej tak potężny i tak popularny w swym kraju monarcha jak Kazimierz Wielki.

W jego statucie jest wprawdzie punkt jeden, który zdaje się wskazywać z jego strony chęć podtrzymania powagi kościelnych wyroków; ten mianowicie, gdzie powiedziano, iż chłopi mają prawo porzucić pana, który przez rok pozostaje pod klątwą. W związku z całym charakterem panowania „Króla Chłopków"— zrozumieć to można raczej jako chęć zmniejszenia i ograniczenia władzy dziedziców niż spotęgowania władzy duchowieństwa. Król Kazimierz sam naraził się na klątwę i bynajmniej nie ugiął się pod tym ciosem; nie zachwiał się też w wierze w prawowitość rządów swoich. Przeciwnie, pozwolił sobie na krok tak gwałtowny jak rozkaz pojmania i utopienia księdza, który mu niósł klątwę biskupią. Jednak nawet ten czyn brutalnego okrucieństwa nie zniechęcił do niego narodu i nie osłabił władzy popularnego i umiłowanego monarchy.

*I. Moszczeńska.*

[1]). Czytaj Tadeusza Wojciechowskiego „Szkice historyczne z jedenastego wieku".

# W zaborze pruskim.

O uniwersytet w Poznaniu. Zjazd P. P. S. Robotnicy a prasa „narodowa“. Na kresach.

W sprawie uniwersytetu poznańskiego zabrał głos, postępowiec" dr. Paweł Symark w *Pos-Zeitung*. Uznaje on uniwersytet w Poznaniu za konieczny i proponuje utworzenie przy nim wydziału teologicznego. Na ten ostatni powinno być jego zdaniem przekształcone obecne seminarjum duchowne. Tą drogą kleryków polskich wyrwie się z pod niepodzielnej opieki duchowieństwa polskiego i podda się ich oddziaływaniu uniwersytetu niemieckiego.

Odbyty podczas świąt wielkanocnych zjazd P. P. S. zaboru pruskiego stwierdził z jednej strony postępujący rozwój wpływów tej organizacji na polskie masy robotnicze, a z drugiej — niezbyt przyjazne stosunki między niemieckim kierownictwem związków zawodowych, a przywódcami polskiej partji. Zaognienie stosunków wzajemnych, spowodowane zostało systematyczną kampanją prowadzoną przez parę jednostek, wrogich P. P. S. (przedstawiających kierunek t. zw. S. D. K. P. i L.). Te jednostki ustawicznie denuncjowały P. P. S. wobec towarzyszy Niemców o „nacjonalizm“, „socjalpatrjotyzm“, „separatyzm“ i t. p. zbrodnie. Nie mogło to nie wytworzyć gruntu nieufności wobec socjalistów polskich w obozie niemieckim, z czego zawsze korzystali intryganci z pod znaku Róży Luxemburg. I tym razem doszło do starć dość przykrych, ale wszystkie zakusy esdeckie zostały energicznie odparte przez zjazd, a działalność intrygancka E. Caspariego, mszczącego się za usunięcie go w swoim czasie ze stanowiska redaktora *Gazety Robotniczej* została potępiona w sposób jaknajbardziej stanowczy.

Zjazd P. P. S. zwrócił w tym roku większą uwagę ogółu polskiego niż dawniej. Tłómaczy się to niespodziewanym sukcesem socjalistów polskich na Górnym Śląsku i poważnym zwiększeniem się liczby polskich głosów socjalistycznych w niektórych okręgach Poznańskiego.

Prasa „narodowa“ zrozumiała, iż stereotypowe zapewnienia, że „socjalizm w społeczeństwie naszym niema gruntu“ i że organizacja socjalistyczna „stale upada“, już nie wystarczają. Zrozumiano, że bądź co bądź robotnik posiada właściwe sobie interesy i że te interesy musi ktoś reprezentować.

Z robotnikami, należącymi do P. P. S. obóz „narodowy“ wraz z reprezentującą go prasą poradził sobie w sposób bardzo prosty. Oto zostali usunięci poza obręb społeczeństwa, uznani za nie Polaków i kwita. Natomiast przyznano, jeśli się tak można wyrazić, pełnię praw narodowych, robotnikom, należącym do t. zw. „Zjednoczenia zawodowego polskiego“. Jestto organizacja, licząca kilkadziesiąt tysięcy członków, stworzona z myślą zwalczania ruchu socjalistycznego na modłę „żółtych“ związków zawodowych. Posiada ona sporo zwolenników, zwłaszcza z Westfalji i na Górnym Śląsku. Ale, zwiększając swe wpływy, organizacja ta zwolna przestaje być zupełnie posłusznym narzędziem w ręku kierowników polityki „narodowej“ interes ekonomiczny jej członków jakoteż i walka konkurencyjna z organizacjami socjalistycznemi zmuszają ją do akcentowania dążności społecznych klasy robotniczej. Jednocześnie domaga się ona uwzględnienia robotników w przedstawicielstwie narodowym. Na tej podstawie też wszedł do Koła berlińskiego Sosiński—jeden z kierowników „Zjednoczenia“. Z obecnością przedstawiciela klasy robotniczej „Koło Polskie“ pogodziło się bardzo łatwo, gdyż regulamin wewnętrzny tej organizacji gwarantuje bezwględną solidarność posłów; ponieważ zaś większość „Koła“ stoi na stanowisku najzupełniej zaprzecznym względem postulatów klasy robotniczej, przeto niemogło być obawy o głosowania tego „przedstawiciela robotników“ wbrew opinji „Koła“. Co więcej, obecność „prawdziwego robotnika“ w „Kole“ wytwarza rzeczywiście złudzenie jakoby ta reprezentacja polskich junkrów i klerykałów była naprawdę przedstawicielstwem „całego narodu“. Ale są i pewne trudności.

Oto podczas ostatniej sesji parlamentarnej także Sosiński zabrał głos w sprawie strejku górniczego i przemawiał tak „klasowo“, że mowa jego ogólnym tonem mało się czym różniła od mów posłów socjalistycznych. *Dziennik Poznański* stwierdził stanowczo, że mowa ta była jedynym rozdźwiękiem w „Kole Polskim“ w ciągu całej sesji ubiegłej. Teraz znowu wielkie zgorszenie wywołało zachowanie się innego z kierowników „Zjednoczenia“ — Jakubowskiego. Ten ostatni jest przewodniczącym najliczniejszego odłamu „Zjednoczenia“ mianowicie — oddziału górników. Prasa „narodowa“ poznańska i górnośląska zarzuca Jakubowskiemu, że prowadzi agitację na modłę socjalistyczną, że występuje nietylko przeciwko kapitalistom i fabrykantom niemieckim, ale i przeciwko szlachcie polskiej, której nie oszczędza. A już prawdziwą zgrozę wywołał w *Dzienniku Poznańskim* i w *Górnoślązaku* następujący frazes jednego z artykułów *Głosu Górników*, kierowanego przez Jakubowskiego: „Wśród rodaków naszych aczkolwiek niema może dużo przekonanych socjalistów, jest wiele cichych, pokątnych zwolenników tego kierunku. Przeciętny Polak nigdy wprawdzie nie będzie należał do socjalistów, ale jednak będzie uważał socjalizm za zbawcę ludzkości“. Jak na pismo, którego pierwszym zadaniem jest walka z socjalizmem, przyznanie się to jest dość nieoczekiwane. I nic dziwnego, jeśli prasa „narodowa“ występuje przeciwko Jakubowskiemu z wielką namiętnością.

*Głos górników* też nie pozostaje dłużnym odpowiedzi. Podejrzenia *Dziennika Poznańskiego* mianuje on „oszustwem“ i „denuncjacją“, ale swego stanowiska broni. Najprawdopodobniej stosunki między „Zjednoczeniem“ a resztą obozu „narodowego“ będą się stale pogarszały, rozwijając się w tym samym kierunku, co stosunek N. Z. R. do oficjalnej N. D. w Królestwie. Natomiast część członków „Zjednoczenia“ stale będzie przechodziła do obozu socjalistycznego, co się już i teraz gdzieniegdzie dzieje.

Zwolna budzi się życie polskie na najdalszych kresach. Na Mazowszu pruskim, zwłaszcza w okręgu szczycieńskim, stopniowo dźwiga się organizacja sił polskich (kółko rolnicze, bank mazurski, organizacja polityczna). Znamienne że na coś podobnego zanosi się i w zapomnianych, całkowicie niemal zalanych falą giermańską powiatach Pomorza, gdzie się tylko resztki ludności polsko-kaszubskiej zachowały. Oto *Schlesische Zeitung* podnosi z najwyższym niepokojem, że w okolicach Bytowa i Lęborka Polacy otaczają te miasta (stolice odnośnych powiatów) wieńcem osad i wdzierają się już do miast samych. W Bytowie Polacy wykupili w rynku dużą kamienicę, w której umieścił swą filję „Kupiec“ z Brus (w Prusach Zachodnich), tworząc „Bazar“ dla polskich odbiorców. Tamże polski „Bank handlowy“ ze Starogrodu założył filję. Jednym słowem „polskie niebezpieczeństwo“ rośnie na wszystkie strony.

Natomiast stale ubywa takich obrońców niemczyzny, jakim są w Poznańskim i wogóle w całym zaborze pruskim, żydzi. Emigrują oni bez przerwy na zachód, skutkiem czego w mniejszych miastach jedna po drugiej są likwidowane gminy żydowskie. Świeżo zwinięto taką gminę w Raszkowie.

*Obserwator.*

# Ostatnie strzały „Kurjera."

*Kurjer Warszawski*, któremu postawiłem zarzut „kłamliwych informacji" z powodu, że przytoczył tylko przychylne oceny wiedeńskie „Pochodu", a ujemne przemilczał, nazywa ten mój zarzut „insynuacją". O kilka zaś wierszy niżej, wyliczając pisma wiedeńskie przez siebie przytoczone, pisze dosłownie:

„5) *Fremdenblatt* (Dla ścisłości nadmieniamy, że w *Fremdenblacie*, oprócz przytoczonej przez nas entuzjastycznej krytyki, był podobno jakiś drugi artykuł polemiczny, którego nam jednak Biuro prasowe nie nadesłało.)"

Ten jeden niewinny nawias *Kurjera* zwolnić mnie może od wszelkiej bezpośredniej z powodu owej „insynuacji" mojej — odpowiedzi.

Już ta jedna spóźniona „ścisłość" *Kurjera* odbiera mu prawo jednoczesnego nazywania „insynuacją" mojego zarzutu, którego *prawdziwość* (a więc nie insynuacyjność) *sam Kurjer stwierdza* swoim nawiasem. Jeśli to — co się nazywa pisanie dla głuchych i ślepych... za jakich widocznie *Kurjer* uważa swoich czytelników.

Ów „jakiś drugi artykuł", którego Biuro prasowe *Kurjerowi* nie nadesłało, był-to artykuł p. Tietze (*Fremdenblatt z dni 16, 17 i 18 listopada*). Autor nazywa „Pochód" fantazją człowieka przeceniającego swe siły, który figurami z bronzu illustruje romans historyczny. Grupy „Pochodu" czynią na widzu wrażenie osób śpieszących się żeby się schronić przed deszczem. Co do Wawelu to autor uważa, iż gdyby to było nawet arcydzieło, zniszczyłoby wrażenie ogólne, jakie zamek wywiera. Autor występuje wogóle ostro i odmawia dziełom p. Szymanowskiego wszelkiej wartości artystycznej.

Nie jest-to miłe zajęcie zastępować *Kurjerowi Warszawskiemu* Biuro prasowe, ale w Warszawie trzeba się i do takich zająć przyzwyczaić... „*Oesterreichische Volkszeitung* pisze (z dnia 3 grudnia): „Myśl, że „Pochód" na drugim końcu galerji znów zniknie, jest tak silna, że nieruchomość wydaje się nienaturalną i w tem widać nieplastyczność idei. Gdzie brak zamknięcia przestrzennego, tam plastyczne wrażenie nie może dojść do skutku i dlatego ten olbrzymi pochód działa w całej swej rozczłonkowanej masie nie jako rzeźbiarsko stworzony kształt, nie jako pomnik nie liczący się z upływającym czasem, ale jako ulotna dekoracja teatralna, której efekt nie odpowiada materjałowi i powstaniu.

Jest w dziele Szymanowskiego wiele szlachetnej pracy i szczegółów o wysokiej piękności pomysłu i ugrupowania, ale pozostaje ono wizją księżycową, ktora bez księżyca chybia wrażenia tak, jak dekoracja teatralna bez oświetlenia".

Uważam, że *Kurjer Warszawski* powinien bezwarunkowo zażądać od Biura prasowego przynajmniej zwrotu opłaty, a to jako słuszną karę za lekceważenie zamówień. Piękne to Biuro prasowe i ładnie się ono publiczności warszawskiej zareklamowało! P. Artur Roessler pisze (w *Arbeiter Zeitung* z dnia 24 stycznia): „Muszę uznać plastyczną kompozycję „Pochodu" Szymanowskiego za chybioną. „Pochód" nie jest wizją plastyka, ledwo że malarza, a właściwie fantastyczną wizją poety. Środkami poety wyrażona mogłaby działać jako harmonijne dzieło sztuki; w tej formie, jak je dziś widzimy, nie jest takim. Każde dzieło sztuki musi się liczyć z podstawowymi idejami architektonicznymi, a przedewszystkim rzeźba. Szymanowski na to nie zważał, choć wiedzieć musiał, że nie chodzi o zasady (zasady są dowolne), ale o prawo, które nie ścierpi żadnego „anarchizmu". „Postacie choć wkrąg wyrzeźbione i trzechmetrowej wysokości działają nie plastycznie, wyglądają jak cienie, nie mają tej tajemniczej przynależności do przestrzeni, tego stosunku, który jest konieczny, aby się stały prawdziwymi dziełami sztuki rzeźbiarskiej. W świetle księżyca przysłoniętego chmurami może pochód taki, który milcząco ze skrzydła zamkowego przez otwartą galerję do drugiego skrzydła zbliżać się zdaje, na rozmarzone usposobienie działać niezwykle; dla smaku, a może słuszniej dla poczucia, znawcy o zachodniej kulturze, którego sam przedmiot nie wzrusza, będzie z pewnością nawet wtedy jeszcze za teatralny".

Ponieważ *tres faciunt collegium*, więc czytelnik pozwoli, że zwolnię go od słuchania, a siebie od przytaczania „powag" wiedeńskich, zwłaszcza iż muszą się liczyć z miejscem dla innych spraw. Na zakończenie zauważyć muszę, że przytoczone przezemnie pisma są równie dobrze w Wiedniu znane i czytane, jak i te, które przytoczył *Kurjer Warszawski*. Zresztą uwaga a raczej furtka *Kurjera Warszawskiego* co do możliwych „pisemek poza rogatkami stolicy austryjackiej nieznanych" upada przez samo oświadczenie *Kurjera*, że informacje te otrzymał od Biura prasowego, albowiem Biuro *zna wszystkie pisma*, bo od tego jest Biurem prasowym. *Kurjer Warszawski*, zanadto już polega na ciemnocie swoich abonentów.

Ponieważ wreszcie Redakcja *Kurjera* wyraziła gotowość do wdzięczności, jeżeli ją „raczę pouczyć", jakie to pisma wiedeńskie wydały oceny ironiczne i naganne, więc — owszem — przyjmuję ją, a ponieważ jest-to wdzięczność *à discretion*, więc żądam jej wyrażenia w formie jaknajskromniejszej: odwołania zarzutu „insynuacji", jaki mi *Kurjer* niesłusznie postawił. Mam nadzieję, że Redakcja tak poczytnego w Warszawie pisma zbyt poważnie ceni słowo swoje publicznie dane, ażeby mogła to skromne moje żądanie pominąć milczeniem.

A *Kurjer Warszawski* lubi przemilczać... Nietylko ujemne krytyki niemieckie, o które mniejsza, (gdyż — przedewszystkim — mniejsza o zagranicę!) lecz daleko ważniejszy „Protest artystów warszawskich" nadesłany prasie warszawskiej, a w tej liczbie i *Kurjerowi Warszawskiemu*. *Kurjer* przemilczał dyskretnie i tu właśnie tkwi niemoralność stanowiska *Kurjera Warszawskiego*. Niemoralność ta komplikuje się i zwiększa przez to, że 1-o przemilczenie to dotyczyło sprawy cały naród obchodzącej 2-o przemilczenie to dotyczyło głosu osiemdziesięciu kilku artystów, którzy po wszechstronnej i wyczerpującej dyskusji uznali za swój zawodowy i obywatelski obowiązek wyrazić zdanie swoje w sprawie tak ważnej i publicznej. 3-o *Kurjer Warszawski* — pismo polskie, w stolicy polskiej wydawane powołuje się wciąż na Wiedeń i niemieckimi krytykami (odpowiednio zresztą dobranymi...) hypnotyzuje ogół polski, *zohydzając jednocześnie i gołosłownie szkalując rzeczową krytykę polską i głosy artystów polskich.*

Stanowisko to *Kurjera Warszawskiego* uważam za wysoce niemoralne, niepatrjotyczne i wprost poniżające.

Ostatnio przeciw ustawieniu „Pochodu" na Wawelu wypowiedziało się stowarzyszenie Techników (Koło Architektów). I ten głos *Kurjerowi* niemiły też powinien być wyniklıwie przez *Kurjer* oświetlony jako „zawistna naganka". Ktokolwiek wypowie ujemną ocenę „Pochodu" należy do „naganki"... Tylko głosy przychylne (a przecież także dość liczne) do „naganki" nie należą. A może jest-to inna, gdzieindziej skierowana „naganka?" Ostrzegam *Kurjer*, że słowo to jest obosieczne...

W szeregu krytyk przychylnych, jakie *Kurjer* o „Pochodzie" zamieścił (porówno niemieckich, jak polskich) nie było ani jednej rzeczowej, ani jednego argumentu i ani nawet próby obalenia argumentacji przeciwników. A przecie sprawa tak głośna, poważna i publiczna domagała się traktowania rzeczowego. Zwolennicy „Pochodu" wprost obowiązani byli w walce, jaka się wywiązała, przedstawić argumenty na korzyść architektoniczności „Pochodu", jego plastyczności, syntetyczności, potęgi idejowej i t. d. Nie uczynili tego — bo nie mogli, bo „Pochód" nie dawał im żadnego w tych punktach oparcia. Tym się tłomaczy to nerwowe i łakome chwytanie przez *Kurjer* wszystkich bez wyboru głosów przeciw artystom polskim wymierzonych. Ale łakomstwo, jak to już dzieciom wiadomo, zawsze na złe łakomcy wychodzi, co i tu się sprawdziło.

*Kurjer Warszawski* oparł się ostatnio na *Myśli niepodległej* i na *Złotym Rogu*. To są dwa ostatnie strzały *Kurjera*, z cudzych zaczerpnięte ładownic. Taki strzał zawsze jest niebezpieczny: rozrywa broń i rani strzelca, albo... jest pusty i strzelca ośmiesza. W danym wypadku zdarzyło się jedno i drugie: *Myślą niepodległą Kurjer* sie poranił a *Złotym Rogiem* — ośmieszył.

Autor artykułu w *M. N.* ośmiesza artystów polskich, którzy zdanie swe o „Pochodzie" wygłosili w proteście i poucza ich jak dzieci, że „sto razy więcej widział pomników" od nich i „nietylko w reprodukcjach, ale na miejscu"... Niestety, żaden z artystów nie ma swojego organu, w którym-by mógł ogłaszać światu o swoich podróżach i studjach.

Autor utrzymuje, że artyści nie są powołani na sędziów z powodu swej indywidualności, a jednocześnie liczy się poważnie ze zdaniem Jacka Malczewskiego. Autor nie uznaje istnienia „zasadniczych *warunków* sztuki" a zwalczając je, mówi wciąż o *zasadach*, *regułkach* i *tworzeniu* na podstawie zasad· bardzo to jest dowolne postępowanie z wyrazami i pojęciami. Do zasadniczych warunków sztuki należy np. forma sceniczna (a nie powieściowa) w sztuce teatralnej, fizyczna dwuwymiarowość dzieła w malarstwie, logika w sztuce dowodzenia.

Autor dalej mówi: „Szanowni panowie artyści, poprostu pomyliliście się!" Bardzo jest miła ta szczera prostota, lecz i artyści mogą powiedzieć: „Szanowny panie Andrzeju, poprostu pomylił się pan!" To zamało. Autor *a priori* przyjmuje wspaniałość, niezwykłość i doskonałość „Pochodu" i ani słówkiem tego nie dowodzi. Powiada tylko: „Autor tych słów słyszał zdania wielu Polaków i Rosjan. Jednych i drugich olśniło dzieło Szymanowskiego". Daruje pan, lecz to — o wiele zamało!

Autorzy protestu przedyskutowali wszechstronnie wartość „Pochodu" i oparli się na rzeczowej krytyce krakowskiej i warszawskiej, którą czytała i zna cała Warszawa. Do krytyki tej odsyłam *M. Niepod.* po dane faktyczne co do zasadniczych warunków sztuki pomnikowej, których brak ujawniono w „Pochodzie". Niech je naprzód obali, a wówczas pomówimy.

*M. Niepodległa* powiada: „Aleć u nas rozgorzała istna wojna z pomnikami". Zdanie to wymaga sprostowania: nie tylko u nas, lecz w całej Europie rozgorzała istna wojna, lecz nie z pomnikami, tylko ze *złymi pomnikami* i ze złym ustawianiem pomników. Wojna ta nie jest „epizodem ogólnej wojny z wszelką u nas twórczością, zwłaszcza wielką" jak to sądzi *M. Niepodległa*. Przeciwnie· jest ona epizodem wojny z pospolitością, ze złym smakiem, z ingnorancją, z „Siegesaleiami", z panowaniem laików w rzeczach sztuki, z *Kurjerem Warszawskim*..

*M. Niepodległa* oskarża artystów, że oni są winni, że sztukę u nas tak lekko się traktuje, albowiem: „zamiast wystąpić z protestem przeciw *Gońcowi* za sponiewieranie wielkiego artysty polskiego, oni woleli jeszcze jego żgnąć"... Jakże niesprawiedliwe są te słowa! Na paszkwil wszyscy byli oburzeni, lecz na paszkwil nie odpowiada się nawet jak się nie odpowiada na połajankę łobuza ulicznego. W sprawie tak poważnej, każdego obywatela polskiego żywo obchodzącej, gdy artyści zbiorowo ze swoim zwięzłym i *w poważnej formie* wypowiedzianym zdaniem wystąpili przeciw dziełu (nie przeciw artyście)—równać ich z paszkwilem *Gońca*, nazwać ich spokojne zdanie „żgnięciem"... na to potrzeba uniesienia, którego pojąć nie mogę.

Gdzież więc jest wolność oceny i sądu? W sprawie, która dotyczy Wawelu, gdyby artyści milczeli, byliby wtedy właśnie winni tego, że sztukę lekko się u nas traktuje. Czyż to nie jasne? Więc *Myśl Niepod.* ma prawo (gołosłownie nawet) wypowiedzieć swój sąd o „Pochodzie", ale osiemdziesięciu kilku artystów warszawskich prawa tego nie posiada?

Nie dziw, że *Kurjer* tak bezpiecznie słowa *Myśli Niepodległej* cytuje: uwierzył w ich nieomylność. Lecz zawiódł się fatalnie, chociaż nie gorzej niż na *Złotym Rogu*, którego słowa cytuje również z całą powagą...

„Społeczeństwo nasze nie może się zdobyć na krytykę rzeczową, poważną" — tak pisze *Złoty Róg* pod adresem jedynie rzeczowej krytyki, jaka się właśnie przeciw „Pochodowi" wypowiedziała, a jednocześnie mówi: „Nie przesądzamy zupełnie wartości artystycznej „Pochodu" — i żadnej krytyki tego głośnego dzieła nie podaje. Naiwność taka rozbraja, jak protest Tadzia w kącie nitką przywiązanego... Wiedzcież, panowie, że kto nie ma zdania o „Pochodzie", nie może mieć prawa do zdania o „proteście przeciw ustawieniu go na Wawelu", nie mówiąc już o paszkwilowej tego zdania formie.

W dalszym ciągu *Złoty Róg* mówi o „improduktywach" przed których „jęzorami" nikt się nie ostoi — „Wyspiański, Żeromski, Norwid i Słowacki zostaną wyśmiani. Suchej nitki nie pozostawią na Matejce Grottgerze, Chełmońskim, Rygierze"... Raz jeszcze: rozbrajająca naiwność!.. Kto na jednej linji i jednym tchem może obok Matejki, Grottgera i Chełmońskiego wymówić nazwisko Rygiera, ten raz na zawsze odbiera sobie prawo do ...powagi. Chyba, że to dla rymu było powiedziane: „Grottgerze... Rygierze." ale i wówczas trzeba odmówić powagi *Złotemu Rogowi*.

Ach! szanowni panowie! Zamiast tego wszystkiego, zamiast całych tych potoków wymowy *dajcie choć jeden argument* za „Pochodem" i za ustawieniem go na Wawelu! Jeden jedyny argu-

ment! O tak małą rzecz prosimy! O obalenie jednego bodaj argumentu przeciwników „Pochodu!" Czemuż nam tego żałujecie?

Ostatnie strzały *Kurjera* mocno chybiły: skompromitowało go Biuro prasowe, pękła mu w ręku Myśl Niepodległa, zamiast kul wysypały się.. bóbki ze *Złotego Rogu*. Jedna go tylko nie zawiodła — własna bezceremonialność, z jaką obrzuca artystów i krytyków warszawskich zarzutami „insynuacji", „zawistnej kampanji", „naganki" i „demagogicznej nienawiści"... I jedna go tylko nie opuściła — wobec niemców *pokora*, gdy, kończąc wyliczanie krytyk wiedeńskich, mówi: „Tak o Wacławie Szymanowskim i jego „Pochodzie" piszą — (pauza) — w Wiedniu". W tej jednej kresce, w tej jednej pauzie pokornej zawarł się cały „duch" *Kurjera Warszawskiego*.

Nie! Nie chcę od *Kurjera* żadnej wdzięczności! I proszę go, niech nie odwołuje swego fałszywego względem mnie zarzutu „insynuacji": ta jedna kreska wiedeńska przekreśla wszystko, co *Kurjer* mówił, mówi i nadal mówić będzie.[1]

*St. Pieńkowski.*

---

# *Szczyt.*

*Ta-m wczoraj przybiegł nocą, tu dziś w noc przychodzę*
*W poświacie księżycowej i w tych gwiazd pobrzęku*
*Zapomnieć o mem sercu, które rwie się w jęku,*
*Zapomnieć o mym domu, który legł w pożodze,*

*Zapomnieć o tem wszystkiem wraz, co nie jest myślą*
*O szczycie, który oto tam! ze skał koronę*
*Wychyla się w milczenie! — — O, niezwyciężony*
*Do dzisiaj przez nikogo! ręce me nakreślą*

*Na twym błękitnym śniegu znak, nim pójdę dalej! —*
*Życie jest zdobywanie! Wybiegam! I lecę*
*Wzdłuż stromych ścian z granitu, zda się, że w nie [wświecę*
*Blask mych ócz, że tchnę ogień żył mych, że zapali*

*Świt się w nich, gdyby obłok w słońcu! Lecz, na Boga!*
*Gdzie jestem? Noc mnie zwiodła i gwiazdy. Daleko*
*Szczyt śpiewa.—Nad nim niebo zwarło się, jak wieko,—*
*A przed stopami memi w otchłań przez ta droga,*

*Którą-m biegł z taką wiarą! — I z powrotem schodzę*
*W dolinę od snu niemą w łasce i niewoli.*
*Lecz wrócę! Jutro moc ma cichy szczyt zniewoli, —*
*Lub padnę, jak wartownik, co bił w dzwon załodze.*

*M. F. ZIĘBOWSKI.*

[1] W numerze wieczornym z dnia 1 maja *Kurjer Warszawski* zamieszcza „dumny" artykuł z powodu występów Reinhardta w Warszawie. Pisze tam między innemi: „*Jedną z fundamentalnych zasad naszej obrony jest zachowanie godności narodowej. Ta godność — to nie frazes sentymentalny...*" A dalej coraz patetyczniej: „*Prawa wojny są twarde! Żadnych kompromisów, żadnej kazuistyki! Czy niemiec z łokciem idzie do nas, czy z lutnią — to wróg!*"

Ale jeżeli z przychylną krytyką „Pochodu", to przyjaciel? Tak! I nadto — *autorytet*, którym rozmyślnie w oczach tłumu poniża się rzeczową krytykę polską i którym się utrzymuje polaków w przekonaniu, że są głupcami wobec niemców!

*(Odnośnik autora).*

# KRYTYKA.

## Zygmunt Krasiński.

XXV.

Ekstaza jest ulubionym stanem Krasińskiego. Być może, że jest ona właściwa istotom potężnym, lecz fizycznie chorobliwym, w których naturalne stopniowe błogie rozpraszanie się energji życiowej bywa zatamowywane, lecz energja się gromadzi i następuje jej wyładowanie się gwałtowne, gdy niezwykła, ostrzejsza podnieta przezwycięży i podmiesie zastawki. Taką podnietą, przezwyciężającą apatję, wywołującą gwałtowne wyładowanie i ekstazę była dla Krasińskiego prócz Boga — kobieta. Na jej widok biegają po nim błyskawice, jak po łonie nocy letniej. Cała istota zostaje głęboko wstrząśnięta, obnażona aż do najwewnętrzniejszego płaczu. Wybranka staje się siostrą najmilszą, ratunkiem, świętą powiernicą.

Czytając niektóre liryki Krasińskiego, doznaje się wrażenia, że przy boku wybranki zapominał nawet o zbawieniu. Jak spragniony był Krasiński tego wyładowania wezbranej energji, której podniety codzienne nie wystarczały, niech zaświadczy wiersz p. t. „Do...", jeden z najwścieklejszych, jakie wyszły z pod pióra poetów polskich. Wiersz ten powstał w r. 1840, kiedy poeta kochał Delfinę Potocką. Znalazła się jakaś pani, która plotkami i podpatrywaniem psuła poecie godziny upojeń. Krasiński pisze wiersz i zaopatruje go w angielskie motto z Byrona, które w przekładzie brzmi: „wychowana w stajni, wykarmiona w kuchni". Oto niektóre ustępy wiersza:

„Przekleństwo podłym, przekleństwo tej babie,
Co z mołdawskiego wywnuczona rodu
I od podłego podlejsza narodu,
Trzyma wciąż oczy jadowite żabie,
White w twarz śliczną mojego Anioła"...

A [illegible] dalej:

„Przekleństwo babie, co karmna brudami,
[illegible]
Lub stać i czekać wśród służących roju,
Aż ją zawoła pani z przedpokoju"

Jeszcze dalej mówi o niej poeta że jest:

„Chuda, okropna i piekielna cała!
Kłamie bezczelnie i kłamstw się wypiera,
Żebrze — kradnie — klnie — szarpie — rozdziera,
Ma mężem szpiega, ma bratem szatana
Kradzież za siostrę, a pieniądz za pana.

Wreszcie następują mściwe życzenia:

„Bodajby w piekle jej krwią mi płacono
Każdą z chwil szczęścia przez nią tu straconą!
Chciałbym po śmierci zostać jej upiorem
I drzeć jej duszę na pasy — na szmaty...
. . . . . . . . . . . . .

Przeklęta wiecznie niech będzie na ziemi!
A kiedy umrze — między umarłemi!"

Tak przemawia obrażona namiętność, od której gniew odjął zwykle towarzyszące Krasińskiemu rozanielenie i obnażył frenetyczną niecierpliwość.

Wiersz ten zasługuje na uwagę jako jeden z nielicznych dokumentów, kiedy mgły mistyczne się rozstępowały i ukazywała się w poezji Krasińskiego czysto ludzka żądza. Zazwyczaj jednak jest u niego inaczej. Jego tęsknota do doskonałości wcielała się w każdą nową kochankę. Każda z nich staje się istotą nadludzkiej piękności i zalet tak wysokich, że poeta czuje wobec niej ekstatyczny zachwyt, a nawet pokorę, słowem — coś w rodzaju obecności bóstwa. „Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie (człowiek) wyczytywał, żeś Ty (Bóg) jest, Ty coś w każdej z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie" (Niedokończony Poemat) Temu niecierpliwemu przebóstwianiu kobiety wybranej odpowiada u Krasińskiego ogólne wysoce idealizujące pojęcie o nich i ich roli w przyszłych losach świata.

W „Niedokończonym Poemacie" mówi o kobietach, że wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie kobiece. Mężczyźni, pochyleni do stóp kobiet, napróżno błagać je będą „o jedną pieśń osłody, o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności". „. Wy, zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków... Tak będzie, a przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca konające zbawicie miłością — i nazawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie".

XXVI.

Jakiegoż ostatecznie człowieka odnajduje się, szukając Krasińskiego? Czy nie człowieka, który zbyt rychło chroni się pod fałdy płaszcza Boga? Który zbyt wielu zjawiskom nie chce się przyglądać lub stawiać czoła, dlatego, że tak postępowali jego ojcowie? Nieustanne skarżenie się, jęki, których pełno w poematach Krasińskiego — niecierpliwią. Niecierpliwią dlatego, że pomimo wszystkich i wszystko, pomimo tylu oskarżeń i spotwarzań, jakim podlega człowiek dzisiejszy, niewątpliwie zmierzamy ku innym układom duchowym i ku większemu zmężnieniu. Poezja Krasińskiego to jeden z tych pięknych płaczów, którymi człowiek żegna swe dzieciństwo.

*Leon Choromański.*

K O N I E C.

# Literatura ghetta.

2)

**Perec jako nowelista.**

Z pośród form literackich, jakich próbował Perec, najbardziej duchowi jego twórczości odpowiada nowela. Dramaty jego sceniczne uderzają nas wprawdzie swym niewyczerpanym bogactwem fantazji i wizyjnością, brak im jednak skupienia, postacie ich są jakoby obezwładnione nadmiarem uczuć.

Dwa rodzaje nowel spotykamy u Pereca. Do pierwszego, — (a prawdopodobnie i do chronologicznie wcześniejszego) — należą nowele liryczne. Poeta maluje w nich teraźniejszość; bystry i wrażliwy obserwator wnika w spółczesną chorobliwą duszę żydowską i tutaj często chęć wyleczenia jej każe artyście być człowiekiem idei, czynić pióro mieczem. Pisarz obyczajowy staje ponad poetą a chęć uczenia, czasem tendencja zasłania wartość artystyczną dzieła. Dopiero w nowelach epicznych widzimy w całej pełni talent Pereca. Nikt w całej literaturze żargonowej nie umiał sobie tak zjednać czytelnika żydowskiego, — ów najgorszy, bodaj, materjał na czytelnika literatury pięknej, — jak Perec.

Perec z zamiłowaniem i po mistrzowsku maluje antytezę dusz obdarzonych potęgą życia wewnętrznego oraz dusz żyjących bez świadomości, w uśpieniu, w kompletnej zatracie swego Ja. Stary 70-io letni Sender zmieniał żony częściej niż... rękawiczki, których prawdopodobnie nigdy nie używał. Miał ich sześć, ale żadnej nie kochał, do żadnej nie umiał się nawet przywiązać. Chciałby mieć siódmą ale... „dziś niema, ani prawdziwej kobiety, ani nawet swata" .. („Samotny").

Temu człowiekowi brak wiary w możliwość szczęścia, bo Sender nie ma owej siły wolnej, obdarzonej samowiedzą lub tęsknotą, nie ma twórczyni wszelkich wartości nie ma .. duszy. Dusza, jej istota i życie są dla Pereca zjawiskiem pierwiastkowym, zasadniczym, koniecznym. A powód jej utraty lub braku zupełnego widzi poeta nie w warunkach zewnętrznych, nie w takich lub innych ukształtowaniach życia. Bo w otoczeniu tylu nędznych, pozbawionych indywidualności i duszy ludzi, spostrzega Perec Moszka, którego życie nie jest tak nędzne, jak życie otoczenia, ale tragiczne, pełne walk duchowych. W toku opowiadania wyrasta przed nami męczennik, który niczem nie może ukoić ran serca. Pierwsze, nieświadome może, ale czyste uczucie miłości, uczyniło zeń postać bolesną, tragiczną.

„Nieborak jest obłąkanym"—powiada nam jeden z rówieśników Moszka. Po stracie pierwszej żony nie chce, ażeby go powtórnie swatano. Wedle naszego prawa można swatać po siedmiu dniach pokuty, ale Moszek czeka cały rok... Ba, i po roku nie chce o małżeństwie ponownym słyszeć... Kilka lat już żyje tak, jak pies. Bo jakież to życie bez kobiety, bez łyżki ciepłej strawy, bez gotowanych kartofli... Jakież to życie!.. Schudł, jak cień wygląda... niby szkielet. Rzecz szczególna: póki ma przed sobą dzieci — uczniów swoich (Moszek jest mełamedem), jest jak człowiek zdrowy... ale skoro tylko dzieci pójdą do domu, skoro mełamed zamknie książkę... staje się „ani do Boga, ani do ludzi"...

Zapomina o jedzeniu, o śnie, nawet o modlitwie...

Jednak uczniowie bardzo go lubią i przypominają mu

— Niech Rabi je.

— Nie, teraz nie, muszę czekać.

I czeka z kawałkiem śledzia w ręku, patrzy na drzwi, jak gdyby ktoś miał przyjść; a kiedy zrozumie, że daremnie czeka, poczyna jeść i płacze.

— Czemu Rabi płacze? — pytają uczniowie.

Wtedy Moszek odwraca się od nich, zakrywa twarz i słychać jak cicho łka... Czasem dochodzi do szafy, otwiera ją i patrzy... jakby namyślał się jaką kapotę ma włożyć... a wewnątrz niema nic, prócz kilku „jej" gałganów, których nikt nie chciał kupić. Miasteczko patrzy nań obojętnie, nikt się

Moszkiem nie interesuje prócz... swata; perspektywa nędznego zarobku nie daje mu spokoju; walczy on, zakłóca spokój obłąkańca, wreszcie zwycięża. Za jego staraniem odebrano Moszkowi uczniów. — „Żydowi nie wolno być bez żony“ — zamknięto mu więc cheder. I musiał się ożenić, by odzyskać uczniów...

„Zaraz po weselu — nowe warjactwo! Zupełnie przestał mówić! Prócz uczniów nikogo nie widzi, z nikim nie rozmawia. Całymi dniami chodzi zamyślony“.

— Nie ta — powtarza nieustannie.

Czasem do późnej nocy zostaje w bóżnicy, nie modli się, nie czyta: myśli. Ostatni, wychodzący z bóżnicy budzi go:

— Mojsze, idziesz. — Milczy.

— Dlaczego nie idziesz do domu...

Nie słyszy, a skoro go się chwyta za ramię, ramię odpowiada, jakby z letargu:

— To wcale nie to.

Warjat!...

Nikt nie widzi cierpień tej samotnej duszy, nikt też nie zrozumie, dlaczego wieczorem, gdy go żona wyśle zamknąć okiennice Moszek ucieknie, przepadnie bez wieści. A gdy po kilku tygodniach przyśle żonie rozwód, wreszcie sam powróci.

— Tęskniłem — powie.

— Za kim?

— Za cmentarzem.. naszym. I powie to — z taką powagą, że dreszcz przebiega po nas. Bo, „czyście słyszeli, by zdrowy człowiek tęsknił za cmentarzem?“

Moszek co wieczór błąka się około cmentarza, bo wejść tam mu nie wolno, zdaleka patrzy na groby...

Tak! Ponad wszelkie wartości społeczne i ekonomiczne istnieje — według Pereca — coś bardziej wartościowego, silniejszego: Jaźń — Dusza. Tylko w obcowaniu z nią, w jej tęsknocie widzi poeta prawdę i piękno życia. Ale jakże rzadko spotyka Perec w teraźniejszości prawdziwą duszę piękną, duszę bez skazy. Nawet grzesznika prawdziwego coraz rzadziej się spotyka...

Świat jest tak biedny, ludzie — tak mierni, dusze ich — tak szare, a czyny — tak małe, tak drobne... („Trzy podarunki“).

I dlatego zbrzydła Perecowi teraźniejszość, jej okrutna pustka, poeta zatęsknił za człowiekiem, któryby silnie wierzył, za duszą całkowitą, za czynem wielkim, za ludźmi godnymi własnego miana... Nie znalazł ich naokół. Zwrócił się więc do przeszłości... do romantyzmu, do romantyzmu żydowskiego...

*

Punkt kulminacyjny swego talentu, moc i pełnię Perec osiąga wtedy, kiedy się zwraca do legendowej przeszłości narodu żydowskiego. Jego duch twórczy ulatuje ponad poziom bezdusznej teraźniejszości tylko wówczas, gdy wczuwa się w środowisko chasydyzmu, w piękno legiendy. I wtedy tylko nie zadaje gwałtu swojej nawskroś romantycznej naturze.

Po wsze czasy żydostwo nurtowały dwa różne kierunki; jak dawniej Talmund i Zokar, późniejsi kabaliści i geniusze, tak do ostatnich niemal czasów ideologje uczonych (Tomdim) i chasydów w stosunku do Jehowy różnią się zasadniczo. Uczeni spełniają swe obowiązki religijne literalnie tak, jak są pisane; ascetyzm i abnegacja wobec życia doczesnego i nietrwałych rozkoszy wynagrodzone im będą w wieczności, w raju, gdzie Jehowa podejmie swych wybranych: „smaczna musi być wieprzowina, ale Tora jej zabrania“ — oto charakterystyczna dewiza uczonych. Odwieczny dysonans między wolą własną a mściwą wolą Jehowy, — nieustanne wypełnianie imperatywów Tory z obawy przed piekłem—wytwarza w nich melancholję, mistycyzm. Ale jest to mistycyzm niepokoju, wypływający ze zdławionych pragnień i namiętności, mistycyzm modlących się bez miłości, bez gorącego, bezwzględnego oddania się Bogu, mistycyzm wywołany ciemną, głuchą, nieubłaganą nocą..

Inne usposobienie religijne cechuje chasydów. Służą oni Bogu duszą, wolą, całą istotą swoją. Nie raj Jehowy ich wabi, lecz owa niepojęta rozkosz „patrzenia się w oblicze Wszechpiękna“; nie piekło strachem wzbrania im czynić zło, lecz odczuwanie w sobie cząstki Jehowy, jego Woli i Potęgi. Nie Bogiem zemsty jest według nich Jehowa, lecz Bogiem miłości.

„Kochaj bliźniego, jak siebie samego“ — oto treść Tory — mówi Rabi Hilel, pierwowzór chasyda.

Ale kogo Perec nazywa chasydem?

Nie jest nim rabin z Brześcia, wysoki, barczysty, o odstraszającej twarzy, długiej, srebrnej brodzie i ostrych, przenikających, jak sztylety oczach. Jest nim raczej jego uczeń, mały, chudy, zamyślony, a uciekający od swego Rabi: „bo mu zaciasno było“ w dusznej atmosferze suchego, twardego talmudu, będącego tylko ciałem Tory, a nie jej duszą. Ten „uczeń“ z myślącymi oczyma światło i prawdę Tory chce pokazać wszystkim, nietylko wybranym, uczonym, ale ogółowi i prostym maluczkim i nieszczęśliwym. I dlatego właśnie idzie w świat, a gdy po latach rabin z Brześcia przyjedzie do swego ucznia i zapyta o tę „nową Torę“, wówczas ten wyprowadzi go na balkon i „pokaże“.

...Na łąkach gromadki chasydów spacerowały, trawki i płomyki tańczyły wraz z niemi z natchnieniem, z miłością... wszystkich oczy z pragnieniem patrzyły na cadyka „swego“, jagdyby pili światłość jego twarzy... i coraz weselej śpiewali, coraz głośniej.. coraz uroczej. Każda gromadka śpiewała inną melodję.. ale w powietrzu wszystkie głosy zlały się, i do cadyka doszła jedna tylko pieśń... jakby wszyscy jedną śpiewali... Śpiewa, niebo, gwiazdy, ziemia. Dusza świata śpiewa...

— Czas się już modlić — przerywa rabin z Brześcia — i wszystko znikło...

Perec nie czas modlitwy kocha i martwe słowa, nie; wielbi duszę modlitwy, a tą jest umiłowanie świata.

„Wszystko znikło!“, rabin z Brześcia zakłócił harmonję wszechświata: nie był chasydem.. Tylko dusza jest najistotniejszą treścią bytu, tylko od niej zależy wartość nasza.

*Juljan Oberski.*

# Z teatrów.

Teatr Rozmaitości z racji gościnnych występów artystki sceny krakowskiej p. Ireny Solskiej wznowił komedję Flers'a i Caillavet'a p. t. „Miłość czuwa“. Utwór ten grany na naszej scenie przed kilku laty słusznie został przypomniany. Jestto właściwie komedjofarsa w szlachetnym tego słowa znaczeniu, ze względu zaś na niesłychaną maestrję roboty scenicznej i na wykwintny lekki perlamł dowcipów sypiący djalog śmiało nazwać można tą sztukę najlepszym majstersztykiem francuskiej współczesnej sztuki dramatycznej. Panowie Flers i Caillavet autorowie tak dobrze znanych publice warszawskiej fars o ampli-

sztucznie powikłanych sytuacjach, w utworze „Miłość czuwa“ sięgnęli po laury lekkich komedjopisarzy i zdobyli je, wykazali się przytem artystami większej miary od współczesnych im w komedji kolegów, bo i w środkach świadomsi i w zamiarze celniejsi i w indywidualności głębsi. To nie gadatliwy Bataille, nie powierzchownie szkicowy Capus, nie karkolomnie dramatyczny Bernstein, nie mówiąc już o całej plejadzie li farsopisarzy i humorystów w rodzaju Weberów i Guitry'ów. Jeden może Tristan Bernard potrafi z taką artystyczną niedbałą finezją, lekkim pazurkiem do głębszych rzeczy przenikającą, traktować temat jak spółka Flers i Caillavet.

„Miłość czuwa“ wyszedłszy z pierwszych uroczych przejawów uczucia w młodym dziewczęciu do płochego kuzynka-donżuana olbrzymim o stalowej konstrukcji, lecz w perspektywie scenicznej pajęczo lekkim zdającym się być łukiem, dociera do okresu w którym pozostawia swą bohaterkę kobietą — żoną, odartą ze złudzeń eksluzywności, lecz tym bardziej uroczą, tym bardziej pociągającą w jej uśmiechu pełnym skłonnej do wybaczeń miłości, w jej uśmiechu rezygnacji nad płochością natury męskiej.

Miłość kobiety z ram scenicznych tchnęła na audytorjum wiewem niewypowiedzianego uroku, zmieniła godziny widowiska w ucieleśnione marzenie, potrąciła w duszy widzów o starannie skrywane struny liryzmu, zagrała na nich i w poszumie melodyjnej tęsknoty zostawiła. Rwał oczy widok dziewczęcia, które pierwsze wyznaje swą miłość, chwytała za serce ta mężateczka młoda, która w podróży poślubnej po Hiszpanji w Granadzie nie widziała nic „tylko Jego“; jakże współczuliśmy jej rozpaczy na wiadomość o zdradzie męża i jak rozbrajały nas nieudolne próby zdradzenia „Jego“ nawzajem. Co do innych figur sztuki, acz nie były z racji rzeczy tak uwypuklone jak bohaterka, w epizodowości swej drgały pełnią. Poczciwy proboszcz-łakomczuch, kuzynek mąż płochy, niedoszły kochanek pechowiec życiowy, ta stara staleczna margrabina o przeszłości nie bez flirternych miłostek, słodkie biedne dziewczę (Eufemja jej na imię) a tak bogate w skarby ukochania i cały szereg trzecioplanowych postaci tworzy barwny fryz i w sceny istotnej inspiracji pełne się układa. Cztery akty, przeszłe prawie jak moment zapatrzenia, dowodzą wielkiego talentu autorów wspartego na dużej pracy.

Główną rolę grała p. Irena Solska. Dla artystki o warunkach stylowej komedji jak i dla kobiety wybór roli do pierwszego gościnnego występu był stanowczo niewłaściwy. Tym się tylko ograniczę będąc pewny, iż p. Solska w następnych odpowiedniejszych rolach rozbłyśnie pełnym światłem swego talentu. Pozatym wykonanie sztuki stało na poziomie utworu: było jednym koncertem. Frenkiel stworzył tak zewnętrznie jak wewnętrznie postać proboszcza ujmującego w poczciwych zaletach, rozbrajającego w wadach; jak zwykle tak i tu mistrzowstwo artysty święciło tryumf twórczej prawdy: z nieprzebranej skarbnicy środków i ekspresji dobył on zda się walory nowe, acz jednako wielkie jak zwykle wywarł wrażenie. P. Osterwa był charakterystycznym pechowym młodzieńcem i ponad zbyt dobitnym czasami podkreślaniem „oryginalności“ typu miał parę istotnie twórczych momentów. P. Lüde była zaiste wielką damą rozbłyskującą głębszymi uczuciami w swych zakłopotaniach, pp. Pichor, Sulima i p. Staszkowski dopełniali wzorowego zespołu.

Teatr Mały gra komedję w czterech aktach Alfreda Capusa, p. t. „Faworytki“ z gościnnym współudziałem p. A. Zelwerowicza. Świat wielkiej paryskiej finansjery, polityków, dziennikarzy i światowych dam przekładanych kokotami (czynnemi i w stanie spoczynku), Capus starał się ująć i wtłoczyć w ramy kilku aktów. Że zaś z samego założenia wynikło, iż dając nie życiowe perypetje jednego człowieka lub kilku psychologicznym węzłem związanych ludzi, lecz usilując odtworzyć środowisko, autor tem samem starł się i uległ konsekwencjom podobnego typu sztuk. Scena rzadko pozwala zapanować nad sobą gromadzie i jeżeli daje już życie takim sztukom jak „Na dnie“ Gorkij'a, wówczas wymaga, by je wystawiał taki reżyser jak Stanisławskij. Inaczej przetwarza poszczególne akty w szereg miernych scen, stwarza od czasu do czasu z zespołów galimatjas, którego ani oko objąć, ani ucho w całość ująć nie zdoła, w rezultacie ze sztuki tworzy chaos. Podobne wrażenie wynosi się z „Faworytek“. Niewiele też pomogły usiłowania trupy teatru Małego by zapobiedz nieuniknionej konsekwencji. Aktorzy z p. Zelwerowiczem na czele, ze zbyt może niedbałą filuternością traktującego swą rolę, mimo widocznych starań niemogli rozgardjaszu sztuki ująć w należne karby i ku celom jednolitego wrażenia skierować.

*K. W.*

# Z PRASY.

## Z prasy polskiej.

⁂ Śmiało już dzisiaj powiedzieć można, że klątwa rzucona przez biskupa Łosińskiego na *Zaranie* wywołała kompletną rewolucję w poglądach naszego społeczeństwa. Kiedy dawniej uważano ekskomunikę za karę, którą kościół wymierza zbłąkanym owieczkom, obecnie nawet *Słowo* widzi w niej przedewszystkim narzędzie walki, narzędzie odporne, jedyne, które jeszcze utrzymać potrafi autorytet księdza, przez wydarzenia lat ostatnich tak ogromnie podkopany. *Słowo* staje naturalnie w obronie klątwy, nawet tak pojmowanej, ale właściwie, wbrew zasadzie „Roma locuta— causa finita“ stara się *wytłómaczyć* dlaczego kler jej użył.

> Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że nasze duchowieństwo zasługuje na same panegiryki. Wiemy, że i ono podlega krytyce, że—to głównie duchowieństwo wiejskie nieraz nie stoi na wysokości swego powołania, wiemy, że są tacy, którzy nie garną się do pracy społecznej wraz z ludem. Ale tych nie korespondencje chłopów do *Zarania* mogą oświecić — i nie upomnienia p. Malinowskiego pozyskać dla pracy społecznej na wsi.
>
> Na co liczyło *Zaranie* w tej akcji krytycznej [illegible]
>
> Na skaptowanie chłopa wyłącznie, na rozszerzenie koła swych czytelników, na wpojenie w chłopów przekonania, że pismo to ich najlepiej, najszczerzej, najgoręcej broni, i przeciwko komukolwiek, ktoby ich krzywdził, a nawet, ktoby im nie dogadzał.
>
> Rachunek ten był bardzo jednostronny,— pogląd krótkowzroczny. Nasze duchowieństwo przecież nie mogło pozostać obojętne i bezczynne na tę działalność tak podkopującą zaufanie jego u lu-

du; nie mogło przecież przyjąć tej kontroli nad sobą, ani pójść pod tę szczególną komendę, w której Maciek miał uczyć obowiązków kapłańskich księdza proboszcza.

I *Słowo* podaje do wiadomości publicznej skutki tej walki księdza proboszcza „nie zasługującego na same panegiryki" z Maćkiem, który go uczył obowiązków kapłańskich:

> Mieliśmy właśnie okazję, której redakcja *Zarania* dostarczyła jednemu ze współpracowników naszych, zajrzeć do raportów wędrownego instruktora Kółek Staszica. Same znaleźliśmy skargi na zbyt powolny, albo i całkiem niemożliwy, rozwój tych kółek. To oto kółko nie może wejść na drogę żwawszej, a nawet jakiejkolwiek pracy, ponieważ miejscowy proboszcz temu przeszkadza. Owa wieś nie jest w stanie założyć kółka Staszicowskiego „dlatego, że ksiądz miejscowy do tego nie dopuszcza". Prawdziwie politycznym durem obdarzony mąż widziałby w tym wskazówkę popełnionej omyłki. Powiedziałby sobie cicho: „zadarłem z siłą, która moje dążenia paraliżuje. Popróbujmy się cofnąć z drogi tak obfitych i tak wyraźnych klęsk".

Ale chłop polski nie posiada w sobie nic z „politycznego męża", który przez lata nawykał w ugodzie do strategji krętactwa. *Słowo* z przerażeniem cytuje za *Sterem* artykuł Zośki z Bielik (współpracowniczki *Zarania*) która nie „cicho", lecz na cały głos komentuje ludowi raporty wędrownego instruktora kółek Staszicowskich:

> Patrzcie, przed nami leżą smutne, ciche obszary wsi polskiej, do której wstępu bronią przy- [illegible] drogi do kościoła... Wstępu do serc broni szkaplerz i różaniec... Do ciemnych mózgów nie wejdzie żadna myśl, oprócz zabobonnej trwogi o życie pozagrobowe. Nic poza tym...

To być nie może! Lud czyta *Prawdę* a może nawet *Myśl Niepodległą* — wola *Słowo*. Tak jest. Lud przeciera oczy. Budzi się wśród niego jakaś nowa, nieugodowa myśl. Panowie, kler, ugoda i Narodowa Demokracja nie zauważyli, gdy kiełkowała. Przez lata odrzucali wszelkie niemiłe zagadnienia, uważali lud za rekruta „bajecznie kolorowych" banderji, tak ładnie galopujących przy karecie arcybiskupiej na uroczystych objazdach djecezji, a dzisiaj, spostrzegły nagle, co lud ten czyta i jak pisze, rwą włosy, zwracają oczy na „Postęp" i pytają:

> Co zyskać może oświata, — a dodajmy i dobro chłopa, gdy uwierzy on w Darwina, Renana i wolną miłość?

Chłop, dla którego jedynym uosobieniem „wolnej miłości" była księża gospodyni, nie prędko się z tą ideą pogodzi. *Zaranie*, jak to widać z gromów kleru i utyskiwań *Słowa* na Maćków, co księżom wypominają kapłańskie obowiązki, zwalcza ją nawet bardzo energicznie. A jak mały związek z wiedzą miała „oświata" niesiona ludowi dotychczas przez panów, którzy tak głęboko pomyślane pytania stawiają w roku pańskim 1912, wskazuje bardzo trafnie *Gazeta Kujawska*:

> Monopolizowanie w swych ręku zdobyczy postępu było zawsze dążeniem arystokracji tak świeckiej, jak kapłańskiej. Z wydzieranych naturze przez ludzkość prawd nowych, starała się ona o tyle pewne ułamki udzielać masom, o ile to nie narażało na szwank stanu posiadania i nie uszczuplało przewagi. Takie wszelako zazdrosne i oględne szafowanie postępem nie było niczym innym w gruncie rzeczy, jak obroną i konserwacją zastoju, miało przedewszystkim na oku dobro samych szafarzy.

*** Nietylko panegiryków pisać obecnie duchowieństwu nie można, ale, co gorsza, już nawet „bronić go trzeba":

> Ze stanowiska narodowego proces Piotrkowski nie wykazał zgangrenowania którejkolwiek z żywotnych części narodu, ze stanowiska wiary nie osłabił jej w duszach mas; pierwsza wieść o wypadku groźnym echem odbiła się w sercach i umysłach ludu, jak ciężki złom, rzucony do cichej wody szerokie zatacza kręgi. Nastąpiło potym uspokojenie, które wzmocnić musiała jawność procesu, jawność szczegółów wypadku. Jasna Góra wychodzi zeń zwycięzko i jako symbol i jako rzeczywistość; nie skalał drogich i potężnych murów ręką rzezimieszka. Wychodzi nietknięta polskość i katolicyzm w Polsce. Nie dziw. Zbyt wielkie rzeczy były w grze, zbyt niewspółmierne z bandą opryszków, których nie brak nigdy i nigdzie. Owszem, dobrze się stało, że zdarto z nich zasłonę, płaszcz, którego tak bardzo byli niegodni.

Takie wnioski z niedawnej Monachomachji wysnuwa *Bibljoteka Warszawska*, lecz inne pisma klerykalne żadną miarą nie chcą zgodzić się z jej stanowiskiym. Naprzykład *Przegląd Powszechny* gniewa się za „zdzieranie zasłony", pod którą intendenci Królowej Polski gromadzili skarby, utrzymywali na koszt narodu swoje kochanice, mordowali i okradali się nawzajem, i biada, że prasa, nie potępiając w myśl staropolskiej zasady: „Grzych gadać nawet o sukni ksiendzowy, o trzewiku ksiendzowym, a nie dopiro o ksiendzu", powodowała się sensacją:

> Dzięki uprzejmemu pośrednictwu niektórych pism, przeciętna publiczność warszawska zna ze wszystkimi szczegółami biografję Macocha, Starczewskiego, Ronikiera, ale taż sama publiczność zawahałaby się może, gdyby ją zapytano o dokładny opis życia i działalności społecznej Skargi i Kołłątaja, których pamiętne rocznice przypadają w roku obecnym, a pełne czci wspomnienie należy się cieniom od polskiego społeczeństwa.

Istotnie, przeżyliśmy rok sensacji. Coraz jakiś „złom" mącił spokojne rozmyślania o przeszłości. Publiczność warszawska, przeciętna i nieprzeciętna, czytała o ks. Chełmickim z powodu rewizji senatorskiej, o ks. Godlewskim i zawikłaniach w Związku chrześciańskim, które oparły się aż o sąd, o zakwestjonowaniu przez śledztwo częstochowskie uzdolnień buchalteryjnych ks. Rejmana, o ks. Kłopotowskim i jego procesach o oszczerstwo.

Sensacji było tak wiele, że nawet *Głos Warszawski*, który identyfikuje polskość z katolicyzmem ze względu na swe horoskopy wyborcze, coraz częściej zdradza dotychczasowych sojuszników:

> Utrzymujemy, że w dobie obecnej wśród duchowieństwa jest zawiele jednostek, które są tam nie na miejscu. Nie myślimy zamykaniem oczu na ten fakt usypiać czujności tych, do których należy kontrola nad postępowaniem ogółu duchowieństwa i wychowaniem młodzieży, która do stanu duchownego wstępuje.
>
> Ale pamiętajmy i o tym, że nietylko wśród duchowieństwa wiele się u nas popsuło, że na to pogorszenie wpływają zewnętrzne warunki życia i trudne położenie, w jakim się nasz kościół znajduje.

Ciekawe, że dotychczas w tym wszystkim nic jeszcze takiego nie widzimy, czegoby nie notowały kroniki zagraniczne: tak samo „wiele jednostek nie na miejscu" można naliczyć wśród

włoskiego, hiszpańskiego, austryjackiego duchowieństwa, także nie podlegającego „naszym zewnętrznym" wpływom. Lecz, że dobrze jest trafić pięć razy kulą w płot, byle za szóstym, zza płota, w osobistego wroga zmierzyć, *Głos Warszawski* natychmiast dodaje, zorjentowawszy się w sytuacji:

Naszym też zdaniem, organy prasy postępowej, uprawiające u nas od lat czterdziestu nagankę na duchowieństwo, pracujące nad zdyskredytowaniem go jako stanu, w celu zniszczenia poczucia religijnego i wpływu religji w naszym społeczeństwie, mogą sobie przypisać lwią część zasługi w tym, że dziś stan duchowny jest gorszy niż dawniej. Najgorszymi pod względem moralnym księżmi są ci, którzy nie są dość głęboko religijnymi dla człowieka zaś słabego w sukni kapłańskiej ogromnym czynnikiem jest godność jego stanu, uznawana przez otoczenie.

Jak widzimy, *Głos Warszawski* odziedziczył po przodkach sporą dozę jowialności i twierdzi, że nie człowiek suknię zdobi, lecz suknia człowieka. Nie byłoby rewizji senatora Neuhardta, księża Godlewscy i Kłopotowscy nie wałęsaliby się wciąż przed kratką sądową, gdybyście wy, postępowcy, nie odbierali wiary księżom, gdyż najniemoralniejszym jest ksiądz... niereligijny! Niestety w innych sferach, głęboko wierzącym i bardzo przestrzegającym prawideł religji był naprzykład Macoch, który nie zapomniał rozgrzeszyć swojej ofiary „władzą nadaną mu od Boga".

Dlaczego *Głos Warszawski* przejął się tak oryginalną metodą kleru, widzimy z następujących słów:

Ktoby zechciał sądzić w naszym duchowieństwie z organów prasy postępowej, musiałby dojść do przekonania, że niema wśród niego, ani jednego uczciwego, a przytym rozumnego człowieka. Zmieniło się o tyle, że dawniej to dyskredytowanie duchowieństwa jako całości prowadzono tylko w sferze inteligencji, dzisiaj prowadzi się to samo wśród ludu, oraz żywiołów blizko ludu stojących.

*Kler, jako stan* niestety, tak się już przez lata sam dyskredytował w oczach ludu, że postępowiec nic w tej sprawie od siebie dodawać nie potrzebuje. Chłop wcześniej od *Głosu Warszawskiego* spostrzegł, że wśród duchowieństwa jest zawiele jednostek — nie na miejscu, i panegiryków, o jakich mówi *Słowo*, na cześć proboszczów nie układał. „Ci z czytelników — pisał niegdyś Adalberg we wstępie do swego zbioru przysłów — którzyby się „Księgą" posługiwali nie celem badań, byliby zmuszeni usuwać ją z przed oczu... niepoświęcanych". „Ksiądz żyje z ołtarza, — pisarz z kałamarza" — mawiali chłopi na wiele lat przed częstochowskim świętokradztwem. „Ksiądz prałat tłomaczy, a żyje inaczej", „Księdzu djabeł worek szyje", „Strzeż się konia z tyłu, kobiety z przodu, a księdza z obu stron". A o takich „słabych", których przed kampanją wyborczą, radzi *Głos Warszawski* wspierać ogólnym poszanowaniem: „Kiedyś nie ksiądz, nie wkładaj sutanny", „W kościele ksiądz, a za kościołem człowiek". Marjawityzm oderwał od kościoła sporą gromadę owieczek, właśnie dlatego, że znał rolę duchowieństwa na wsi. Lud przetrwał wojny religijne, dziś już apostołów z pośród kleru nie pragnie, gdyż, — jak mówił ś. p. I. J. Kraszewski: „Niewiem czy jaki pomnik może być równego znaczenia, większej wagi i płodniejszy we wnioski nad zbiór przysłów". Dziś lud bardzo uważnie pogląda na ręce, które mu niosą kaganiec „swojej" oświaty, albo... wyklinają, gdy innej, przez kler nie ocenzurowanej, zapragnie.

⁂ Ten sam *Głos Warszawski* tak gorąco występujący w obronie „dyskredytowanych" księży, oburza się na postępowców, że umieścili protest dyskredytowanych przez niego nauczycieli ludowych. „Kto, gdzie, kiedy wskazywał nauczycielstwo ludowe, jako sprawcę ohydnej zbrodni?" Służymy: *Głos Warszawski* 8 marca:

Od r. 1865 wytwarza się u nas klasa ludzi, pochodzących prawie wyłącznie z naszego ludu wiejskiego, którzy, opuściwszy sferę ludową i uzależnieni wyłącznie w swym życiu od władz rządowych, wchodzą w życie polskie i łączą się z nim o tyle tylko, o ile chcą, o ile popychają ich do tego skłonności osobiste. Warunki społeczne do tego ich nie zmuszają. Ta klasa ludzi — to funkcjonarjusze policyjni pochodzenia polskiego, pisarze gminni, w części zwłaszcza do niedawna, nauczyciele ludowi i t. p.

Ci ludzie przestali żyć kulturą i etyką ludową, bo ponad nią wyrośli, czy poza nią wyszli; nie przejmują się zaś pojęciami i poglądami oświeconych czy półoświeconych żywiołów polskich, bo od nich są niezależni, do nich nie weszli. Przy swoim tedy pochodzeniu polskim nie są oni kulturalnie i etycznie Polakami, ani w tym stopniu, co chłop polski, ani w tym, co inne żywioły narodu.

Do tej właśnie klasy hybrydów kulturalno-etycznych należał i Macoch, i Olesiński, i Starczewski.

Kiedy go nauczyciele ludowi za rękę przyłapali, że usypia sumienia w obronie zgnilizny i sutanny, uśmiecha się do nauczycielstwa, jak lokaj, który w przedpokojach ministerjalnych przywykł do układania fizjonomji zależnie od chwili:

...bardzo się cieszymy, ilekroć spotykamy w ludziach poczucie godności i gotowość do obrony swej czci osobistej, czy też honoru swego stanu lub zawodu. Dalecy też jesteśmy od obrażania czy też obniżania jakiejkolwiek kategorji ludzi, tym bardziej stanu nauczycielskiego tak pięknego, gdy jest należycie traktowany

Tableau! *Głos Warszawski* lubi sytuacje wyraźne!

# KRONIKA.

UBYTEK ŻYDÓW W POZNAŃSKIEM. W *Dz. Poznańskim* czytamy: Z miasteczek w naszym Księstwie usuwa się coraz więcej żydów poprostu dlatego, że kończą się dla nich złotodajne czasy wskutek hasła „Swój do swojego". Zgromadziwszy poważne kapitały, wynoszą się z nimi do wielkich miast niemieckich. To też co pewien czas słychać o rozwiązaniu gminy żydowskiej wskutek braku wyznawców Talmudu. Wielka niegdyś gmina żydowska w Raszkowie będzie również rozwiązana i przyłączona do gminy w Ostrowie.

ZWIĄZEK KASZUBSKI. Wydawany w Gdańsku miesięcznik kaszubski p. t. *Gryf*, donosi o utworzeniu się „Związku Kaszubów", który ma dążyć do nadania ruchowi „młodokaszubskiemu" podstaw organizacyjnych i szerszej niż dotąd działalności. Związek ma skupić inteligencję młodokaszubską, któraby krzewiła wśród kaszubów kulturę polską.

Powstanie tego zrzeszenia kaszubskiego poczytywać należy za objaw b. pożyteczny w rozwoju polszczyzny na Pomorzu.

LUDNOSC POWIATU ŁÓDZKIEGO. Według danych statystycznych, w końcu roku ubiegłego, ludność powiatu (naturalnie bez 500-et tysięcznej Łodzi) liczyła 293 tysiące 552 osoby (140 tysięcy 316 męż., 153 tysiące 236 k.), w tej liczbie ludności stałej, t. j. zapisanej do miejscowych ksiąg 178 tysięcy 819 i niestałej, czyli zamieszkałej za paszportami 114 tysięcy 733 osób płci obu. Ponieważ z liczby ludności stałej 5 tysięcy 161 osób znajduje się na wychodźtwie, przeto liczba ludności zamieszkałej w powiecie w końcu roku ubiegłego wynosiła 288 tysięcy 391.

Ogółem ludność powiatu wzrosła w r. z. o 66 tysięcy 415 osób.

POLSKOŚĆ NA POMORZU. Polacy na Pomorzu (Pomeranja) wzrastają pomału, ale stale. Głównie w powiatach: bytowskim, lęborskim, a także w słupskim t. j. w tej części dzielnicy Pomorza, która graniczy z Prusami Zachodnimi.

W powiecie bytowskim na 240,000 mórg posiadali Polacy w roku 1900 ok. 30,000 mórg, w roku 1911 już 36,900 mórg. W roku 1900 naliczono 3575 Polaków w powiecie, w 1910 r. już 4535. Dzieci polskich w szkołach liczą na 1,200. Powstało 1-e na Pomorzu polskie „Towarzystwo Ludowe".

W powiecie lęborskim na 48,800 mórg od r. 1900 przeszło w ręce polskie ok. 4,000 mórg. W roku 1900 było 2353 Polaków, w r. 1910 naliczono 3266.

W powiecie słupskim dopiero w r. 1911 przeszło w polskie ręce 516 mórg ziemi. Polaków w r. 1900 było 100, w roku 1910 naliczono 815.

Ponieważ przybywający Polacy to zwykle młodzi ludzie, dlatego wpływ ten najbardziej się uwidocznia w szkołach. Z 50 szkół ludowych w powiecie bytowskim jedna piąta część składa się z polskich przeważnie dzieci, a czysto niemieckich szkół w powiecie w roku 1900 było już tylko 30.

Jak ogromnie mało mają powodów hakatyści wobec liczb tych do robienia wrzasku powinniby zrozumieć, gdy się dowiedzą, że to niegdyś czysto słowiańsko polskie strony. Gdy się tak słyszy te strachobliwe wrzaski z tej przyczyny, że w powiecie bytowskim na 28,125 mieszkańców jest 4.535 Polaków, w powiecie lęborskim na 52,800 mieszkańców 3,266 Polaków, w pow. słupskim nawet aż 815 Polaków — to mimowolnie śmiać się należy nad hakatystyczną głupotą.

POLACY W BRAZYLJI I ARGENTYNIE. W stanie Parana, w wielkich skupieniach, mieszka obecnie z górą 90,000 naszych rodaków (co stanowi 25 proc. ogółu ludności). Rio-Grande-de Sul liczy 30,000 Polaków. Santa Kateryna na 300,000 m. posiada zwyż 5,000 Polaków. Dodamy, iż w mieście Kurytybie na 40,000 m. jest 25 proc. Polaków. Ogółem dadzą nam te wyliczenia 130,000 Polaków, rozproszonych po Am. poł.

KARA PRASOWA. Redakcja *Gazety Kujawskiej* skazana została na 200 rb. kary za dwa artykuły „Do społeczeństwa Kujaw" i „Liga samobójców".

ZMARLI. Zeszłego tygodnia, w Warszawie, zmarł na skurcz serca poeta i zarazem badacz językoznawca — *Wacław Rolicz-Lieder.*

Wacław Lieder urodził się d. 27 września, 1866 r. w Warszawie. Ogłosił drukiem „Poezje I" (1889), „Z księgi lirycznej" (1890); „Poezje II" (1891); „Wiersze III (1895); „Wiersze perskie" (1895); „Moja Muza" (1895); „Wiersze V" (1897); „Wierszów księgi pierwsze, drugie i trzecie" (1898); „Nowe wiersze" (1903); „Pieśni Niepodległe" (1906).

Większość tych zbiorów poetyckich, drukowana w małej ilości egzemplarzy, nie wypuszczona była wcale na rynek księgarski. Utwory polskie Liedera są bardzo nierówne: obok pieśni dźwięcznych i pięknych, znajdujemy u niego wiersze chropowate, słabe zarówno pod względem formy, jak i treści.

Jednocześnie Lieder był zamiłowanym i pracowitym językoznawcą. Znał języki wschodnie, a zwłaszcza arabski. Tłomaczył swego czasu w sposób dość oryginalny powstanie miana „Wawel" i jego dzieje. Od pięciu lat Lieder gotował słownik nazwisk polskich. Z archiwów parafialnych zdołał wynotować około 200,000 nazwisk, które usiłował wyjaśniać naukowo.

W ostatnich czasach Lieder krzątał się około założenia własnej tłoczni którą zamierzał postawić na stopie wysokich wymagań estetycznych. Niespodziewana śmierć zniweczyła jednak ten pożyteczny zamiar, dla tak zaniedbanej w tej dziedzinie, Warszawy...

## Książki nadesłane do Redakcji:

**Dr. W. Miklaszewski:** „Rozwój cielesny proletarjatu Warszawy w świetle pomiarów antropometrycznych". Warszawa 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. str. 170.

**Juljusz Payot:** „Wyrabianie charakteru podstawą moralności". Z oryginału francuskiego „La morale à l'école" przełożyła Marja Arct-Solczewska. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa 1912. Str. 290.

**Edward Schuré** „Wielcy wtajemniczeni". Zarys tajemniczych dziejów religji: Rama — Kriszna — Hermes — Mojżesz — Platon — Jezus Z 20-go wydania francuskiego spolszczyła W. Nidecka. Nakładem M. Arcta. Str. 312.

**Eugenja Żmijewska:** „Młodzi". Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Str. 380 w 8-ce. Cena rb. 1 kop. 60.

**Georges Guy-Grand:** La philosophie Syndicaliste". Paris 1912.

**William Shakespeare:** „Dzieła dramatyczne" Tom III: „Stracone zachody miłosne" — „Sen nocy letniej" — „Kupiec Wenecki." Warszawa Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. 242.

**Józef Jedlicz:** „Nieznanemu Bogu". Pod znakiem poetów — wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1912 Str. 160.

**Adam Zieleńczyk:** „Drogi i bezdroża filozofji". Warszawa 1912. Nakładem Henryka Lindenfelda. Str. 232.

**André Gide:** „Dostoiewsky". Paris 1912.

**Benedetto Croce:** „Esthétique" comme science de l'expression et linguistique générale. Paris.

**T. Rossi-Doria** „Socialismo e Patriotismo". Milano 1912.

**Grzegorz Glas:** „Gromada i Człowiek". Kraków 1912. Księgarnia literacka. Str. 30.

**Georges Palante:** „La philosophie du Bovarysme". Paris 1912.

**Kazimierz Przerwa-Tetmajer:** „Legenda Tatr". Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. Str. 422.

**Feliks Gwiżdż.** „Dobrzy ludzie". Nowele i szkice. Lwów, 1912. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połanieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. Str. 190.

**Anatol Krzyżanowski.** „Psyche". Powieść współczesna, Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E Wende i Sp. Str. 280.

## Wydawnictwa „PRAWDY".

**Antoni Menger:** Prawo do całkowitego wytworu pracy CENA **k. 75**

**Karol Gide:** Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia **rb. 2**


**Prenumerata „Prawdy"**

wraz z bezpłatnym dodatk:

**W Warszawie** miesięcz. kop. 70, kwartal. rb. 2, rocz. rb. 8, z odnosz do domu.

**z przesyłką podzt.** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10

[illegible]

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt od 12—2 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech mie[illegible]dakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyj[illegible]

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** admini[illegible] wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach

**Administracja otwarta** codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]





Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**

Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, Warszawa, S-to Krzyska 11.